



Oblicza Europy Środkowej

Redakcja
Zbigniew Rokita
Tomasz Stępniewski



Oblicza Europy Środkowej

W serii Europa Środkowa ukazały się:

Europa Środkowa. Rozmowy o (nie)pamięci,

red. Tomasz Stępniewski, Lublin 2020

Wyszehrad porwany. Rozmowy o Europie Środka,

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Oblicza Europy Środkowej,

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Sojuz ruszymy!. Związek Sowiecki 30 lat po upadku,

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Oblicza Europy Środkowej

Redakcja

Zbigniew Rokita
Tomasz Stępniewski

Instytut
Europy Środkowej 
Lublin 2021

Spis treści

- I Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski
6 **Oblicza Europy Środkowej: wstęp**
- 10 **Zmyślona Europa Wschodnia**
| Z Larrym Wolffem, amerykańskim historykiem i autorem
książki *Wynalezienie Europy Wschodniej*,
rozmawia Kuba Benedyczak
- I Piotr Kępiński
20 **Brakujące półki księgarniane**
- I Artur Madaliński
30 **Europa w linijce wiersza**
- 40 **Witoldo**
| Z Klementyną Suchanow, autorką biografii Witolda Gombrowicza,
rozmawia Zbigniew Rokita
- I Aleksander Kaczorowski
48 **Agregat Kundery**

- 56 | Jakub Majmurek
**Kino Wyszehradu:
wspomnienie czy przyszłość?**
- 66 | Anna Łazarz
Czyja sztuka
- 74 | Michał Okoński
Jak rozumiem grę
- 84 | Iwona Hofman
Lublin – miasto środkowoeuropejskie



Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski

Oblicza Europy Środkowej: wstęp

Oddajemy do rąk Czytelników zbiór esejów i wywiadów dotyczących Europy Środkowej. Sam termin „Europa Środkowa” nie jest precyzyjny i w zależności od przyjętych kryteriów uzyskujemy jego różne definicje i różny zakres terytorialny. Innymi słowy, Europa Środkowa ma wiele obliczy – dlatego też w niniejszej publikacji chcemy pokazać bogactwo i różnorodność tego regionu. Odnosimy się do jego historii, ważnych postaci i kultury.

Ciekawe są rozważania Larry’ego Wolffa o spojrzeniu Zachodu na Europę Wschodnią. Amerykański historyk przygląda się temu zjawisku w szerokiej perspektywie czasowej, przyznaje również, że nie wierzył, iż sam dożyje wstąpienia Polski, Węgier, Czech, Słowacji, Słowenii, Litwy, Łotwy i Estonii do Unii Europejskiej. Wolff stawia ponadto intrygującą tezę, zgodnie z którą Europa Wschodnia „została wynaleziona” przez Europę Zachodnią, a sama tradycja dzielenia kontynentu na oś Wschód-Zachód zamiast Północ-Południe nie jest tak dawna, jak mogłoby się wydawać. Jednocześnie wyjaśnia, że sama koncepcja Wschodu nie zawsze jest pojmowana na Zachodzie wyłącznie w sposób pejoratywny.

Iwona Hofman zastanawia się z kolei, na czym polega środkowoeuropejskość Lublina. Może tropem jest fakt, że w międzywojniu województwo lubelskie jako jedyne nie miało granicy państwowej? Anna Łazarz pochyliła się natomiast nad zrabowanymi z naszego regionu dziełami sztuki, bada ich losy oraz szanse na ich odzyskanie.

Autorzy przyglądają się również ikonom literatury środkowoeuropejskiej – Aleksander Kaczorowski opowiada o Milanie Kunderze („Konfrontacja z ignorancją Zachodu sprawiła, że Kundera poczuł się Środkowoeuropejczykiem”), Artur Madaliński o Sandorze Márai („I choć jego Europa jest – jak idea «środkowoeuropejskości» – bytem widmowym, o rozmytych granicach i niejasnych cechach dystynktywnych, to jest także

jego jedyną ojczyzną”), a Klementyna Suchanow o Witoldzie Gombrowiczu („Gombrowicz ma coś, co przemawia do kolejnych pokoleń. Dzieje się tak między innymi dlatego, że pozostał wierny sztuce, a to przedłuża życie pisarza”). Ich rozważania nabierają dodatkowego znaczenia w kontekście eseju Piotra Kępińskiego, w którym autor stara się rozstrzygnąć, czy istnieje literatura Europy Środkowej w tym sensie, w jakim wydziela się literaturę skandynawską czy rosyjską. Kępiński pyta, czy w księgarniach Londynu lub Moskwy pojawią się kiedyś półki opatrzone właśnie hasłem „literatura środkowoeuropejska”? Podobne pytanie stawia Jakub Majmurek w kontekście kina i dochodzi do wniosku, że choć dziś trudno mówić o spójnym estetycznie czy problemowo kinie wyszehradzkim, to termin ten może już niebawem napełnić się treścią.

Michał Okoński w dedykowanym Serhijowi Żadanowi osobistym eseju *Jak rozumiem grę* zdradza, że było coś perwersyjnego w tym, iż dziejów piłki Europy Środkowej i Wschodniej przyszło mu uczyć się na Zachodzie.

Publikacja przygotowana przez Instytut Europy Środkowej w Lublinie stawia sobie za cel przybliżenie złożonych procesów zachodzących w państwach Europy Środkowej oraz pokazanie kulturowej wagi tego obszaru. Oddając w Państwa ręce kolejny tom Instytutu Europy Środkowej w Lublinie w serii „Europa Środkowa”, cieszymy się, że mogliśmy poszerzyć naszą wiedzę i perspektywę na historię, kulturę i ludzi związanych z naszym regionem.



A
2021

Zmyślona Europa Wschodnia

Z Larrym Wolffem, amerykańskim historykiem
i autorem książki *Wynalezienie Europy Wschodniej*,
rozmawia Kuba Benedyczak

Larry Wolff – profesor historii Uniwersytetu Nowojorskiego. Badacz dziejów Europy Wschodniej i członek American Academy of Arts and Sciences. W Polsce wydano jego dwie książki: *Wynalezienie Europy Wschodniej. Mapa cywilizacji w dobie Oświecenia* (Międzynarodowe Centrum Kultury, 2020) oraz *Idea Galicji. Historia i fantazja w kulturze politycznej Habsburgów* (Międzynarodowe Centrum Kultury, 2020).

Na rozgrzewkę pytanie lifestyle'owe. W jednym z wywiadów powiedział pan: „W książce *Wynalezienie Europy Wschodniej* chciałem podkreślić, że Polska, Rosja i Turcja to nie to samo”. Z tej wypowiedzi wnioskuję, że poziom wiedzy Amerykanów na temat Europy Wschodniej jest dramatycznie niski. Co zatem skłoniło młodego nowojorczyka, aby zająć się tym egzotycznym regionem?

Zainteresowałem się nim w trakcie zimnej wojny, choć wtedy patrzyłem na Europę Wschodnią przede wszystkim przez pryzmat polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Jako że władze komunistyczne nie były zainteresowane opinią publiczną, a w każdym z państw komunistycznych obowiązywał niemal identyczny reżim polityczno-gospodarczy, my, Amerykanie, traktowaliśmy wszystkie te państwa jako jedno i to samo, nie zwracając uwagi na dzielące je różnice. To dla mnie zrozumiałe, bo choć Amerykę i Europę dzieli całkiem spory dystans geograficzny, przez większą część swojej przedwojennej historii Ameryka izolowała się od spraw europejskich. Dlatego też moim podstawowym celem było znalezienie odmienności między państwami Europy Wschodniej.

Najważniejsza teza pańskiej książki *Wynalezienie Europy Wschodniej* brzmi: Europa Wschodnia „została wynaleziona” przez Europę Zachodnią. Co ma pan konkretnie na myśli?

„Wynaleziona” nie w sensie dosłownym. Zawsze i wszędzie istniały te same kierunki geograficzne: zachód Afryki, wschód Nowego Jorku, pół-

noc Francji, południe Australii i tak dalej. W trakcie badań nad Europą zaskoczyło mnie jednak to, że w połowie XVIII wieku wschód Europy tak niewiele już znaczył.

| Wcześniej było inaczej?

W XVII wieku centrum rozwoju polityczno-gospodarczego znajdowało się w Europie Zachodniej i Południowej. Kiedy tamtejsi ludzie mówili o Polsce czy Rosji, nazywali je „krainami Północy”.

Zachód zaczął inaczej postrzegać między innymi Polskę dopiero w XVIII wieku, gdy miasta włoskie straciły na znaczeniu na rzecz stolic zachodnich: Paryża, Londynu i Amsterdamu.

Zmiana nastąpiła dopiero w XVIII wieku, gdy miasta włoskie straciły na znaczeniu na rzecz stolic zachodnich: Paryża, Londynu i Amsterdamu. Te ostatnie były akuszerkami i nosicielkami idei oświecenia oraz rewolucji przemysłowej. Tym samym Europa stała się zachodniocentryczna. Zmieniła się zachodnia perspektywa: Polska, Litwa czy

Rosja nie leżały jak dotychczas na północnym-wschodzie, lecz po prostu na wschodzie. Jednocześnie Zachód konotował Wschód jako bardziej zacofaną część Europy.

| Zacofaną w jakim sensie?

W znaczeniu filozoficznym, organizacyjnym i cywilizacyjnym: pozbawioną idei oświeceniowych i nowych technologii. To również fascynowało mnie w badaniu Europy Wschodniej – przecież kultura i poziom zacofania Polski i Rosji są odmienne, a mimo to Zachód wrzucał je do jednego worka.

| Jak zmieniło się pojęcie Wschodu na przestrzeni kilkuset lat?

Wschód wciąż oznaczał to samo: zacofanie. Czasami w XIX wieku kojarzono go z romantyczną wizją odradzania się nowoczesnych narodów. Dla Zachodu było to dość atrakcyjne, ale nadal równało się wydobywaniu się z zapóźnienia.

Z kolei w trakcie zimnej wojny zacofanie Europy Wschodniej wiązało się z ustrojem komunistycznym, który odbiera prawa obywatelskie i nakazuje żyć w gospodarce odgórnie sterowanej, trapionej niedoborem dóbr materialnych. Muszę jednak przyznać, że osobiście z pewną fascynacją obserwowałem wtedy kultywowanie narodowego folkloru wśród

imigranckich społeczności Europy Wschodniej. Niedawno napisałem książkę *Woodrow Wilson and the Reimagining of Eastern Europe* (*Woodrow Wilson i ponowne wyśnienie Europy Wschodniej* – tłum. red.). Opisuję tam pewne wydarzenie: w czasie konferencji paryskiej polscy politycy wysyłają do Paryża swoich górali, którzy mówią Wilsonowi, że chcą przynależeć do Polski, a nie Czechosłowacji. Górale wydają się Wilsonowi dzicy, brudni i prymitywni, ale nie może oderwać od nich oczu, chce ich wysłuchać do końca.

Niektórzy polscy recenzenci pańskiej książki *Wynalezienie Europy Wschodniej* podnosili, że udowodnił pan, iż Zachód „od zawsze” patrzył na Wschód z poczuciem wyższości, dodatkowo pouczał go i orientalizował. Ponížanie Wschodu miało być mentalnym oraz ideowym fundamentem późniejszego podboju.

To nieprawda. Zachodnia percepcja Wschodu jest bardzo zróżnicowana, co pokazali chociażby Wolter i Rousseau. Zachód nie postrzegał państw wschodnich wyłącznie w negatywnym świetle, odnajdywał z nimi pewne podobieństwa, a koniec końców uznawał za część Europy. Tak samo jak my rozmawiamy na bazie jednakowego budulca kulturowego, tak samo w XVIII wieku rozmawiali Polacy i Francuzi.

Co się zaś tyczy imperialnych tendencji Zachodu: faktycznie niekiedy podkreślanie różnic między wschodnią i zachodnią Europą służyło wojnie. Przodowali w tym Francuzi. I tu dochodzimy do paradoksu. Napoleon napadł na Rosję, traktując ją jako zacofaną, barbarzyńską krainę, ale w Polsce do dzisiaj traktuje się go jak bohatera! Dlaczego? Dlatego, że pozornie przywrócił Polskę na mapę świata, choć de facto ją podbił, wprowadził w niej własną administrację, a przede wszystkim uznawał za niższą cywilizację.

Dwa rozdziały swojej książki poświęcił pan XVII-wiecznej Polsce i Rosji, opisując je przez pryzmat poglądów Rousseau i Woltera. Wolter nie szanował Rzeczypospolitej Obojga Narodów, za to lubił Rosję. Rousseau odwrotnie – podziwiał Rzeczpospolitą, ale nie cierpiał Rosji.

W XVIII-wiecznej Europie Zachodniej istniały dwa modele postrzegania Europy Wschodniej. Pierwszy to model woltariański. Wolter sądził, że motorem rozwoju cywilizacyjnego dla zacofanego Wschodu może być tylko oświecony absolutyzm, a figury Piotra Wielkiego i Katarzyny II idealnie personifikowały jego wizję. Drugi był model Rousseau, który wywrócił

poglądy Woltera do góry nogami. Twierdził, że zacofanie Europy Wschodniej jest jej zaletą, ponieważ dzięki temu może skierować swój rozwój na tory republikańizmu, zamiast wprowadzać rządy absolutystyczne. Rzeczpospolita Obojga Narodów ze swoją demokracją szlachecką dawała nadzieję realizacji jego wizji. Co więcej, dla Rousseau fundamentem rozwoju republikańizmu była idea narodowości, która organizowałaby politykę, gdyż miała windować narodowo-ludową kulturę, tym samym burząc dotychczasową hierarchię i tworząc z mas ludowych podmiot republiki. Według Rousseau, jeśli ta wizja znalazłaby swoją realizację, Europa Wschodnia przewyższyłaby Zachód moralnie i politycznie.

Polska próbuje wykorzystać jako *soft power* narrację podobną do tej Rousseau. Zgodnie z nią Polska ma starsze od zachodnich tradycje republikańsko-demokratyczne – te pojawiły się już w Rzeczpospolitej Obojga Narodów.

Z historycznego punktu widzenia to prawda. W XVI wieku polski republikańizm był jednym z pierwszych w Europie, choć nie jedynym – Rzeczpospolita stała obok Szwajcarii, Wenecji, Holandii i Anglii. Tylko że w tym czasie bujny rozkwit i zwycięstwa były udziałem monarchii absolutnych, a nie republik.

Kolejna kwestia to szlachecki charakter polskiej demokracji, która wykluczała większość społeczeństwa, a więc w XXI wieku jest całkowicie nieakceptowalna. Trudno zatem komukolwiek na świecie „sprzedać” ten model ustrojowy jako smakowity kąsek. Pomijam już fakt, że mówimy o zbyt dalekiej przeszłości, by ktokolwiek za granicą zechciał zapoznawać się z polskimi tradycjami republikańskimi, chyba że środowiska polonijne.

W moim przekonaniu pogląd Woltera wygrał bitwę o pamięć. Większość historyków uważa, że gdyby wówczas Rzeczpospolita ustanowiła monarchię oświeconą, która ukróciłaby szlachecki parlamentaryzm, Polska nie byłaby skazana na rozbiory.

Sądzę, że silniejszy rząd centralny Rzeczpospolitej posiadałby większą zdolność przeciwstawienia się scentralizowanym monarchiom Prus, Rosji i Austro-Węgier. Tym bardziej, że rozbiórów Rzeczpospolitej dało się uniknąć. Co prawda, Polska nie byłaby w stanie utrzymać ani całego swojego terytorium, ani unii z Litwą; silna polska władza mogła jednak odpowiednio wcześniej zmienić układ sił w regionie, nie doprowadzając do tak znacznego wzrostu potęgi sąsiadów.

Czy w aspekcie modernizacyjnym Polska zyskała na byciu częścią Prus, Rosji i Austro-Węgier?

Użycie tu terminu „Polska” to zbyt duże uogólnienie. Część Polaków stała się beneficjentami pewnych elementów modernizacji, ale dokładnie tak samo stałoby się, gdyby Polska zachowała niepodległość i włączyła się w ogólnoeuropejską modernizację gospodarczą, rewolucję przemysłową i ewolucję ówczesnych idei politycznych.

Na siłę można oczywiście analizować te obszary modernizacji, na których korzystała Polska i Polacy. Na przykład jako najbardziej rozwinięta gospodarczo część carskiej Rosji Królestwo Polskie korzystało ze swojej przewagi w ramach wymiany handlowej wewnątrz imperium. Inny przykład: wraz z przekształcaniem cesarstwa austriackiego w monarchię konstytucyjną nastąpiła decentralizacja i rozwój parlamentaryzmu, czego beneficjentką była również polska Galicja. Lwów miał przecież swoją reprezentację w wiedeńskim parlamencie. Mówimy jednak jedynie o wycinkach rzeczywistości społeczno-politycznej, a nie całościowym rozwoju polskiego organizmu państwowego.

Nie wierzyłem, że kiedykolwiek dożyję wstąpienia Polski, Węgier, Czech, Słowacji, Słowenii, Litwy, Łotwy i Estonii do Unii Europejskiej.

Swoją książkę zaczyna pan od żelaznej kurtyny, jaka zapadła nad Europą Wschodnią po II wojnie światowej. Czy podział jałtański był wyłącznie efektem geopolitycznej umowy mocarstw w bardzo specyficznej sytuacji geopolitycznej, czy ma on jednak swoje historyczne uzasadnienie?

To przecież nie Stalin, Roosevelt i Churchill wynaleźli Europę Wschodnią – została ona wynaleziona dwieście pięćdziesiąt lat przed nimi. Dlatego właśnie koncept jałtański i żelazna kurtyna wydały się po wojnie tak naturalne, logiczne i nieuniknione, a w rzeczywistości zawierały w sobie ideę z przeszłości. Odkryciem dla mnie jako dla historyka było to, jak sztuczny kulturowy twór może zamienić się w rzeczywistość społeczną, gospodarczą i polityczną, uznaną przez wszystkich za naturalną kolej rzeczy.

Po upadku Związku Radzieckiego większość państw dawnego Układu Warszawskiego weszła jednak do NATO, a następnie do Unii Europejskiej, w efekcie czego nastąpiły migracje zarobkowe „wschodniaków” do Europy Zachodniej. Miliony z nich już tam zostały. Uprawnione będzie stwierdzenie, że kontinuum pojęciowe Wschód–Zachód zostało złamane?

To zależy, z jakiej perspektywy czasowej spojrzymy na punkty styczności Wschodu z Zachodem. Jeśli cofniemy się do X wieku, zobaczymy, że Mieszko I wybrał religię katolicką, przyłączając się do świata zachodniego. Taki stan rzeczy utrzymywał się przez całe średniowiecze. Ale jeśli zawężymy perspektywę czasową do zimnej wojny, przekonamy się, że wstąpienie państw Europy Wschodniej do NATO i UE stanowiło przełom reorganizujący Europę.

| Gdyż?

Zakwestionowano wówczas koncepcję podziału Europy na zachodnią i wschodnią. Dla mnie, dziecka zimnej wojny, był to milowy krok i – jeśli mam być szczery – nie wierzyłem, że kiedykolwiek dożyję wstąpienia Polski, Węgier, Czech, Słowacji, Słowenii, Litwy, Łotwy i Estonii do Unii Europejskiej. Oczywiście nie oznacza to, że stare konflikty i animozje na kontynencie zniknęły, ale najważniejsze jest istnienie i wdrażanie projektu zjednoczonej Europy.

Dla mnie wstąpienie do wspólnoty europejskiej jest czymś w rodzaju przeżycia pokoleniowego – w 2004 roku byłem studentem pierwszego roku politologii. Wraz z członkostwem w Unii nastąpił skok cywilizacyjny Polski, a dla milionów ludzi możliwy stał się awans społeczny. Z tego powodu granie Polexitem jest dla mnie niezrozumiałe.

Ja też byłem bardzo zaskoczony eurosceptycznymi głosami, a jeszcze bardziej tym, że osoby głoszące takie poglądy osiągają dzięki temu sukces polityczny. Uważam jednak, że to jedynie upodabnia Polskę do państw Europy Zachodniej. Przecież partie eurosceptyczne funkcjonują także we Włoszech, Francji, Grecji i innych państwach Unii. Czy Wielka Brytania, zdecydowawszy się na Brexit, wstąpiła nagle do klubu Europy Wschodniej? Oczywiście, że nie. Po prostu w każdym z państw europejskich znaleźli się politycy eksploatujący krytycznie nastawioną do Wspólnoty część społeczeństwa.

Według eurosceptycznego, prawicowego publicysty Rafała Ziemkiewicza Polacy i ich historia niespecjalnie różnią się od historii postkolonialnych państw Afryki, Azji czy Bałkanów – rozbieżność ma polegać jedynie na tym, że u nas transformacja odbyła się w sposób pokojowy. Ziemkiewicz twierdzi, że mu-

simy wyzwolić się z naszej „postkolonialnej mentalności”, gdyż to ona jest przyczyną naszych problemów.

Nie rozumiem... To jakiś neosarmatyzm?

Ciekawe określenie, ale Ziemiękiewicz nazywa samego siebie „nowoczesnym endekiem”.

Jego analogie są kłamliwe. Pomijam fakt, że odrzuciłaby je większość państw afrykańskich i azjatyckich. XIX-wieczne doświadczenie Polski zdeterminowało jej późniejszy nacjonalizm, który właściwie przetrwał w XIX-wiecznej formie po dziś dzień. Mam tu na myśli ideę, którą Adam Mickiewicz w trzeciej części *Dziadów* zawarł w haśle „Polska Chrystusem narodów”.

Zachód nie postrzegał państw wschodnich wyłącznie w negatywnym świetle, odnajdywał z nimi pewne podobieństwa, a koniec końców uznał za część Europy.

Nieistniejąca na mapie Polska ma być Chrystusem narodów?

Tak. I wie pan co? Nie znajdziemy takiego bon motu ani w Afryce, ani we Francji. Nie chcę przez to powiedzieć, że nacjonalizm Polaków jest bardziej dziki od nacjonalizmów innych narodów. Wyróżnia go jednak anachronizm i poczucie wyjątkowości w cierpieniu. Jeśli już musiałbym szukać w polskiej mentalności postkolonializmu, to powiedziałbym, że... W którym roku się pan urodził?

Orwellowskim. 1984.

Zatem w pokoleniu pańskich dziadków i rodziców istnieje pamięć sowieckiej dominacji, poczucie, że ostentacyjnie rządzi tobą obce mocarstwo. Ale, znowu, nie ma to nic wspólnego z Afryką i Azją. Doświadczenie to raczej łączy Polskę z pozostałymi państwami Europy Wschodniej. Mam nadzieję, że brzmi to bardziej sensownie niż sienkiewiczowska gloryfikacja polskiego kolonializmu.

Moim zdaniem sienkiewiczowskie ciągoty kolonialne stanowią rewers tej samej monety, znajdującej się w obiegu do dzisiaj. Postkolonializm rosyjski jest oczywisty – skrywa się w słowianofilstwie i ruskim mirze. Polski mesjanizm w swoim poczuciu wyższości wobec pozostałych państw Europy Wschodniej

oraz imperatywie niesienia im „lepszey” cywilizacji wykazuje się mentalnym kolonializmem, czym zraża do nas mniejszych sąsiadów.

To prawda, Polacy mają silną pamięć swej obecności na dzisiejszych terenach Litwy, Białorusi i Ukrainy. Wywołuje to nieustające zainteresowanie obszarem poradzieckim, przez co niekiedy znów wpada się w koleiny mesjanizmu, ale raczej w formach ulotnych – idei czy niezdrowego sposobu myślenia o Wschodzie. Po 1989 roku takie odruchy nie przerodziły się i pewnie już nie przerodzą w gorący kolonializm. Tym bardziej nie można porównać polskiego mesjanizmu do imperialnych ambicji putinowskiej Rosji. Naprawdę sądzi pan, że ktokolwiek w Polsce mógłby mieć kolonialne ambicje wobec obszaru poradzieckiego?

Chodzi mi przede wszystkim o megalomanię i wielkopańskość Polaków, a niekiedy ich pogardę wobec Ukraińców, Białorusinów, Litwinów czy nawet Rosjan. A także o przekonanie, że to właśnie my jesteśmy predestynowani do pokazania im lepszego świata.

To interesujące spostrzeżenia, ale widzę to inaczej. Powiedziałbym tak: Białoruś i Ukraina tkwią w stanie niedokończonej transformacji ustrojowej po upadku ZSRR, a ponieważ putinowska Rosja jest w tych państwach bardzo mocno obecna, Polska może odegrać w nich konstruktywną rolę.

Według człowieka zza oceanu Polska przynależy dziś do Wschodu czy Zachodu? Polska niemal przynależy do Zachodu.

W jakim sensie „niemal”?

Jest członkiem Unii Europejskiej, która od początku swego istnienia definiuje instytucje polityczne świata zachodniego i wymaga, aby jej członkowie działali według określonych reguł. Jednocześnie, jak wiele państw, Polska wykazuje pewne podobieństwa do putinowskiej Rosji. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że dla obszaru euroatlantyckiego coraz powszechniejsze staje się upodabnianie do świata rosyjskiego. Tragedia Europy polega na tym, że Rosja zaczyna być dla niej reprezentatywna.

Osobiście wierzę, że Rosja mogłaby się zeuropeizować. Ten kraj posiada bardzo różnorodną historię, która pozwala na przyjęcie europejskości, jednak – niestety – Putin ciągnie Rosję w przeciwnym kierunku, czyniąc ją wrogią wobec projektu wspólnoty europejskiej.

Chce pan powiedzieć, że to bardziej Europa się putinizuje, niż putinizm się europeizuje?

Nawet na Zachodzie nie ma kraju, który byłby w stu procentach „zachodni”. Chodzi o proporcje, o zważenie „procentu Zachodu w Zachodzie”.



Brakujące półki ksiegarniane

Piotr Kępiński

Literatura środkowoeuropejska istnieje tak samo, jak istnieje literatura skandynawska czy brytyjska. Nie ma prawa nie istnieć

Piotr Kępiński – poeta, krytyk literacki, eseista. Pracował między innymi jako zastępca redaktora naczelnego w „Czasie Kultury” oraz jako szef działu kultury w „Dzienniku” i „Newsweeku”. Obecnie współpracuje z „Twórczością” oraz „Rzeczpospolitą”. Autor wielu książek poetyckich i eseistycznych, między innymi zbioru esejów o współczesnej kulturze litewskiej *Litewski spleen* i tomu wierszy *Nieoczy*. W latach 2007-2016 juror Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus”. W latach 2017-2019 zasiadał w jury Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius”. W roku 2021 w wydawnictwie Czarne opublikował książkę *Szczury z via Veneto*. Mieszka w Rzymie.

Niemniej brytyjskość czy skandynawskość to pojęcia spójne, bardzo dobrze zdefiniowane i rozpoznane. Powieści z tych regionów Europy mają swoje stałe miejsca w księgarniach. Literatura środkowoeuropejska jest natomiast tworem hybrydycznym, widmowym, ale paradoksalnie też dotykającym i widzialnym. Ma stały, wspólny i bardzo szeroki mianownik, który tworzą historia, prowincjonalność i fatalizm. Jej tło skomponowane jest z kompleksów, ariergardyizmu i – znowu paradoks – awangardyizmu. Nigdzie indziej w Europie nie znajdziemy czegoś podobnego.

Niestety, literatury, które wchodzą w skład owego szerokiego środkowoeuropejskiego mianownika, działają z reguły na własny rachunek. Niekoniecznie chcą wchodzić w alianse i dlatego w księgarniach berlińskich czy paryskich są niewidoczne. Nie ma tam półek z napisem „literatura środkowoeuropejska”, przynajmniej ja takich nie widziałem.

A szkoda. Chciałbym kiedyś zobaczyć, powiedzmy, w księgarni przy Largo Argentina w Rzymie, obok książek Hrabala czy szkiców Kertesa, wiersze Miłosa lub powieści Tokarczuk. Może taki prosty zabieg sprawiłby, że łatwiej przychodziłoby nam zdefiniować to, co mamy pod ręką? Może wtedy wyraźniej zobaczylibyśmy, jak owe paradoksy, połączone z wieloma środkowoeuropejskimi tradycjami, utworzyły osobny literacki kontynent?

Trwająca historia

Na kształt literatury środkowoeuropejskiej największy wpływ miały niewątpliwie – i mają nadal – historia, wojny i polityka. To te elementy formowały jej graniczny charakter. Wokół nich bardzo często kręci się też tematyka powieści, poezji i dramatów. Ba, nawet narracja w tych opowieściach bywa dwupoziomowa: z jednej strony osadzona w historii, z drugiej zaś absolutnie współczesna.

Przykładów jest cała masa: od dzieł Jerzego Andrzejewskiego, Juliana Strykowskiego poprzez powieści Jurija Andrychowycza do opowiadań Herkusa Kunčiusa. Historia w wielu powieściach tych autorów ciągle trwa, nigdy się nie kończy. Czujemy, że zawsze wyskoczy jak diabeł z pudełka i pokaże rogi, czy tego chcemy, czy nie.

Bo Europą Środkową niepodzielnie rządzi pamięć. Naturalnie, w różnych krajach różnie to wygląda. W Czechach pamięci jest bez wątpienia mniej niż w Polsce, ale już na Litwie jest ona jeszcze bardziej widoczna niż nad Wisłą. Pamięć wciska się nawet w komedię, nigdy nie znika. I, co najistotniejsze, bywa narzędziem politycznej gry, nacisku, przemocy symbolicznej. Najczęściej jest jednak kontrapunktem czy też punktem odniesienia.

Takie widzenie świata kompletnie obce jest chociażby we Włoszech. Dla pisarzy z tego regionu (niech Włosi pozostaną reprezentantami reszty Europy) historia jest przede wszystkim opowieścią i przypomnieniem, nigdy zaś upomnieniem, napomnieniem, stemplem czy stygmatem. To nie tak, że pisarzy z Italii historia nie interesuje – wręcz przeciwnie, w ostatnich latach mamy do czynienia z wysypem powieści traktujących o minionym. O Mussolinim świetną serię książek napisał Antonio Scurati, włoskich emigrantów wspominała Melania Mazzucco, a Maurizio Serra napisał głośną biografię Gabriele D'Annunzia – doskonałe kompendium wiedzy o kontrowersyjnym pisarzu, ale także pełną życia opowieść o faszyzmie.

Historia przedstawiana w tych i wielu innych włoskich książkach jest jednak tylko i wyłącznie historią. Człowiek też ma na nią wpływ. Nie ma martyrologii, nie ma dumy z cierpienia albo niechęci do tegoż. Brakuje podniosłych słów i sztandarów. Bardziej niż minione ma istnieć teraźniejszość i przyszłość, samą zaś historię trzeba w tych książkach zrozumieć, a nie czuć. Należy ona, ewidentnie, do czasu przeszłego dokonanego. Nie wróci.

Na przecięciu światów

Helena Janeczek urodziła się w Monachium w polsko-żydowskiej rodzinie. Ta włoskojęzyczna pisarka do Italii przyjechała w wieku dziewiętnastu lat, mieszka tam od ponad trzydziestu. Jeżeli w jej powieściach pojawia się wojna, to protagonistom towarzyszą pytania: jak się z niej podnieśliśmy?; jakie miała ona dla nas znaczenie? Janeczek to bardzo ciekawy przykład autorki wymykającej się schematom, w których można byłoby zamknąć współczesną włoską prozę.

W 2018 roku za powieść *Fotografka* (polski przekład: Katarzyna Skórska) otrzymała nagrodę Strega, jedno z najważniejszych włoskich wyróżnień literackich. W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” mówiła: „Po przeczytaniu pierwszego zdania mojego biogramu w Wikipedii trudno powiedzieć, kim jestem. Włoską pisarką? Niemiecką albo włosko-niemiecką? Gdzie w takim razie umieścić polsko-żydowskie dziedzictwo? Definicje to trudna sprawa, ale kogo to obchodzi. Czuję przynależność do wszystkich części mojej historii”.

Otóż to: definiowanie nie leży we włoskiej naturze pisarskiej. Uogólnianie również. Możemy rozmawiać o wojnie, o latach pięćdziesiątych, ale żeby je lepiej zrozumieć, zobaczmy, jak się wtedy ubieraliśmy, co czytaliśmy, co jedliśmy. Zmieniliśmy się? I odpowiedź jest jedna: ależ tak! Jesteśmy inni. Ale jacy?

W *Jaskółkach z Monte Cassino* (polski przekład: Bartosz Budzyński i Graziana Melillo), wspominając słynną bitwę, Janeczek pisze o historii wprost. Bardziej niż jej wymiar polityczny czy martyrologiczny zajmuje ją jednak aspekt psychologiczny. Pisarka, wchodząc w przeszłość, nie ma zamiaru jej ani dotykać, ani odtwarzać. Chce ją zasymilować i przede wszystkim zindywidualizować. W *Jaskółkach* nie ma żadnych wspólnych mianowników, jest za to wiele ludzkich życiorysów, spośród których wszystkie są ważne. Janeczek bierze je do ręki bardzo delikatnie. Przygląda się, nie ocenia.

Momentami jej książka przypomina bardziej prozę poetycką aniżeli klasyczną powieść. Opisy współczesności stają się wyraźnym kontrapunktem dla historii. Widzimy umarłych, którzy metaforycznie wracają do żywych, ale nie jako zakrwawione upiory, a jako normalni ludzie – jakby wojny w ogóle nie było. Słyszymy ich głosy, rozpoznajemy ubrania. Ten zabieg

**Chciałbym kiedyś zobaczyć,
powiedzmy, w księgarni
przy Largo Argentina w Rzymie,
obok książek Hrabala
czy szkiców Kertessa,
wiersze Miłosza
lub powieści Tokarczuk.**

ma służyć jednemu: zrozumieniu tego, co było, żeby to co jest, stało się lepsze. Zmarli mają nam w tym pomóc.

Autorka kładzie także akcenty na mniej znane elementy wielkiej bitwy. Wspomina biorących w niej udział Żydów, upamiętnia też Maorysów, Nepalczyków. Nowozelandczyków, Marokańczyków. Rysuje niezwykle ciekawy obraz armii generała Andersa, mniej oczywisty, a przede wszystkim nie tak świetlany, jakbyśmy chcieli: „Wraz z upływem czasu coraz trudniej jest Żydowi zostać przyjętym w szeregi armii. Na początku, czyli w okresie, kiedy przybywa Milek (jeden z bohaterów powieści – Samuel Steinwurz), jest ich bardzo wielu, stanowią mniej

Europą Środkową niepodzielnie rządzi pamięć.

więcej połowę wszystkich zaciągniętych. To wydaje się dziwne, niesłychane dla pozostałych ludzi obozujących w lesie, dlatego też namioty wypełnia niepokój i niechęć.

Nie potrafili sobie zdać sprawy, że jedną trzecią wszystkich zesłanych Polaków stanowili Żydzi, lecz pamiętali doskonale tych, którzy sławili Armię Czerwoną. Co mamy zrobić z tymi ludźmi, którzy rzucili się w ramiona Sowietów? – zastanawiają się. – Co to za Wojsko Polskie, gdzie Żydzi stają się większością?”

Nie twierdzą, że w powieściach autorów polskich, czeskich czy litewskich nie dokonuje się rewizja historii. Bez trudu znajdziemy dzieła, które idą pod prąd narodowym narracjom. Ważna jest jednak perspektywa: w przypadku autorów z Europy Środkowo-Wschodniej jest ona bardzo bliska, jeśli zaś chodzi o autorów włoskich, na pewno jest dalsza. W literaturze środkowo-europejskiej dostrzegam też więcej emocji i zaangażowania. Włosi są zaś mistrzami analizy. Poświęcam tu Helenie Janeczce tyle miejsca, gdyż działa ona na przecięciu obu tych europejskich światów. Zachowując dystans, dotyka czasami duszy bohaterów (to ostatnie jest bardzo charakterystyczne dla trafaretu polskiego, ukraińskiego czy rosyjskiego). Jednocześnie Janeczka czasami dostrzega, że „dusza jest cała pomarszczona i podobna do małego starego pieska...” – jak mówiła w *Letnikach* Maksyma Gorkiego Olga Aleksiejewna. Żona doktora Dudakowa dodawała jeszcze, opisując brutalnie samą siebie: „Czasem wydaję się sama sobie odrażająca... i nędzna...”.

Powieść emblematyczna

Podobnie mogliby o sobie powiedzieć bohaterowie najnowszej powieści Andrzeja Stasiuka *Przewóz*, która jest przykładem tego, co w literaturze

środkowoeuropejskiej najlepsze. Autor *Murów Hebronu* napisał książkę emblematyczną dla regionu. Mogłaby być jego herbem i koroną jednocześnie.

Wszystko jest tutaj znakomicie wychwycone, inteligentnie podpatrzone, odsłuchane i koncertowo napisane. Mamy rok 1941, czerwiec. Na jednym brzegu rzeki, która nie tylko metaforycznie dzieli świat na pół, stacjonują Niemcy, na drugim Sowietci. Pomiędzy nimi żyje wiejski przewoźnik, który przepływa z ludźmi z jednego brzegu na drugi. Są wśród nich partyzanci i Żydzi.

Wymarzony temat dla miłośnika Mitteleuropy. Metafora metafor.

Niezwykle celnie napisał o *Przewozie* Eustachy Ryłski (z wydawniczego blurba): „Wszystko ma tej powieści zapach, włącznie z okrucieństwem. Jej zmysłowość czasami oszałamia, choć nie zmysłowości podporządkowana jest historia postaci zależnych od zdarzeń niemających dla nich litości, zamkniętych w hipnotycznym korowodzie, z którego nie wyprowadza nawet śmierć. A na drugim planie ostatnie niemieckie przygotowania do najpotężniejszej w ludzkich dziejach wojennej ofensywy...”.

Każdy element tej powieści jest znaczący. Nawet dym może być symbolem ulotności, niestałości życia i granic. Doris, bohaterka *Przewozu*, w pewnym momencie bierze do rąk papierosa: „(...) zaciągnęła się trochę niewprawnie odwracając grzbiet dłoni na zewnątrz. Posmakowała dymu, jakby to było coś do jedzenia albo picia...”.

Świat tej powieści jest światem wielkiego niedostatku i niepewności. Pewność, jeżeli się pojawia, dotyczy tylko i wyłącznie tego, że przyszłość zawsze będzie niepewna. Głód bywa gorszy niż śmierć, ta zaś czyha wszędzie, wojna nigdy nie mija – tkwi w ludzkich głowach do dzisiaj, pojawia się w majakach, koszmarach i snach. Jak mówi Doris: „Jesteśmy jak martwi (...). Jesteśmy jak trupy.”

Stasiuk dotyka tej śmierci. Wchodzi w ludzkie rany. Toczy wymagowane dialogi z byłymi mieszkańcami granicznej wioski. Pokazuje świat okrutny, ale i przez okrucieństwo doświadczony. Ten dualizm jest w *Przewozie* widoczny i przejmujący, czasami do bólu. Czytamy: „(...) trupy zjawiały się za tym stołem, pod ciemną lampą i w dymie. Trupy raz za razem. Własne i cudze. Wyływały na wierzch jak w rzece i nikt się nie dziwił”.

Tak, w opowieściach środkowoeuropejskich ciągle jeszcze możemy poczuć zapach prochu, gnijącego ciała czy potu żołnierzy. Możemy zobaczyć strach uciekających Żydów, bynajmniej nie tylko przed Niemcami. Może-

my usłyszeć krzyk wydobywający się z Treblinki. I uświadomić sobie, że przecież to piekło jeszcze nie wygasło – ciągle się gdzieś tli.

Stasiuk wyraźnie zaznacza tę ciągłość, zwłaszcza gdy narrator opowieści wyrusza tropem historii, której nie opowiedział mu jego ojciec. I nagle znajduje się na peryferiach Europy, które w jej zachodniej czy

Kolejną cechą literatury środkowo-europejskiej jest bowiem fakt, że nie znajduje ona, siłą rzeczy, swoich naśladowców w innych regionach Starego Kontynentu czy świata.

południowej części uważane są za gorsze, mniej istotne czy też po prostu zacofane. Doskonale wychwytuje kompleksy i dlatego możemy zobaczyć bohaterów, którzy ze wstydu za współudział i obojętność chowają głowy w piasek. Z drugiej jednak strony widzimy dumne hufce modlące się do świętych zmarłych i zamordowanych.

Przewóz jest jak cała Polska – to opowieść historyczna, a równocześnie do bólu współczesna. Metaforyczna, chociaż realistyczna. Poetycka i przyziemna. Niepewna i zarozumiała. To ciemny świat pełen zamkniętych szaf, w których poupychane są rekwizyty skradzione z innej epoki. Jeszcze raz Przewóz: „(...) Zawsze mógł ktoś przyjść i zabrać, a potem zjawiał się następny i oddawał to niby ich własne, ale cudze”.

Skazana na zagładę?

Równie niepewne jak własność są też granice, o których w opowieściach włoskich przecież nie dyskutuje się w nieskończoność. W naszej części Europy granica tkwi w ludzkich głowach. Jest ruchoma jak poziomica: niby wiadomo, gdzie się dziś znajduje, ale wystarczy odchylić głowę, żeby znaleźć się w innym świecie. W Europie Środkowej trudno o równowagę.

Szukają jej tacy pisarze jak Stasiuk czy Tokarczuk, która w eseju *Fantom Europy Środkowej przegląda się w literaturze* niezwykle trafnie definiowała jej fenomen i odrębność: „Choć wielu nie chce się z tym zgodzić – Europa Środkowa to peryferie Europy Zachodniej. Być może właśnie dlatego stosunek wielu Środkowoeuropejczyków do własnej kultury bywa ambiwalentny. Z jednej strony są często przekonani o swego rodzaju niedojrzałości własnej kultury, którą jednocześnie gardzą jako niższą, nie do końca rozwiniętą; z drugiej jednak strony chętnie się nią jako czymś szczególnym, bo własnym i wyjątkowym, podkreślając przy tym jej nieprzetłumaczalność, totalną odmienność i kontekstowość. Taką

sprzeczną wewnątrznie postawę reprezentował zarówno Czesław Miłosz, jak i Witold Gombrowicz”.

Kto wie – może właśnie dzięki tym sprzecznościom powstały i przecież nadal powstają dzieła ciekawe, różnorodne i odmienne od tych, które publikuje się na zachodzie Europy. A na dodatek bardzo często awangardowe, odważne i niepowtarzalne.

Kolejną cechą literatury środkowoeuropejskiej jest bowiem fakt, że nie znajduje ona, siłą rzeczy, swoich naśladowców w innych regionach Starego Kontynentu czy świata. Jej się nie da skopiować czy zuniwersalizować, albowiem należy tylko i wyłącznie do jednego (choć różnorodnego) kręgu kulturowego.

Pojawia się jednak pytanie: skoro literatura z tego regionu nie promieniuje i nie wpływa na inne literatury europejskie, to czy w przyszłości nie zostanie wchłonięta przez owe silniejsze twory? Co z niej zostanie za – powiedzmy – pięćdziesiąt czy sto lat?

Jest bowiem oczywiste, że obecnie znajdujemy się nie tylko na marginesie, ale także na rozdrożu. Czy rozdroże i margines – podobnie jak sensualizm – pozostaną już na stałe „stemplem” tej twórczości?

Sprawa nie jest ani prosta, ani jednoznaczna. Młodszy autorzy, chociaż chętnie sięgają po wzorce uniwersalne, to przecież z sukcesem kontynuują i modyfikują regionalne wzorniki, jak chociażby czyni to Olga Hund w powieści *Łyski liczą do trzech*. Gombrowiczowska groteska świetnie rymuje się u niej z nierealistyczną tematyką czeską, w wyniku czego powstaje wielopiętrowa metafora, która mogłaby wyjść spod pióra Sławomira Mrożka czy Pavla Kohouta.

Nawet Jakub Żulczyk, pisarz czerpiący garściami z powieści gatunkowych, niebędących przecież w aliansie z tradycją regionu, świetnie je modyfikuje, tworząc w zasadzie nowy podgatunek – thriller lub kryminał środkowoeuropejski. Jego *Wzgórze psów* to wielka metafora polskich dzikich przemian, politycznych perturbacji i zmagania z mentalnością.

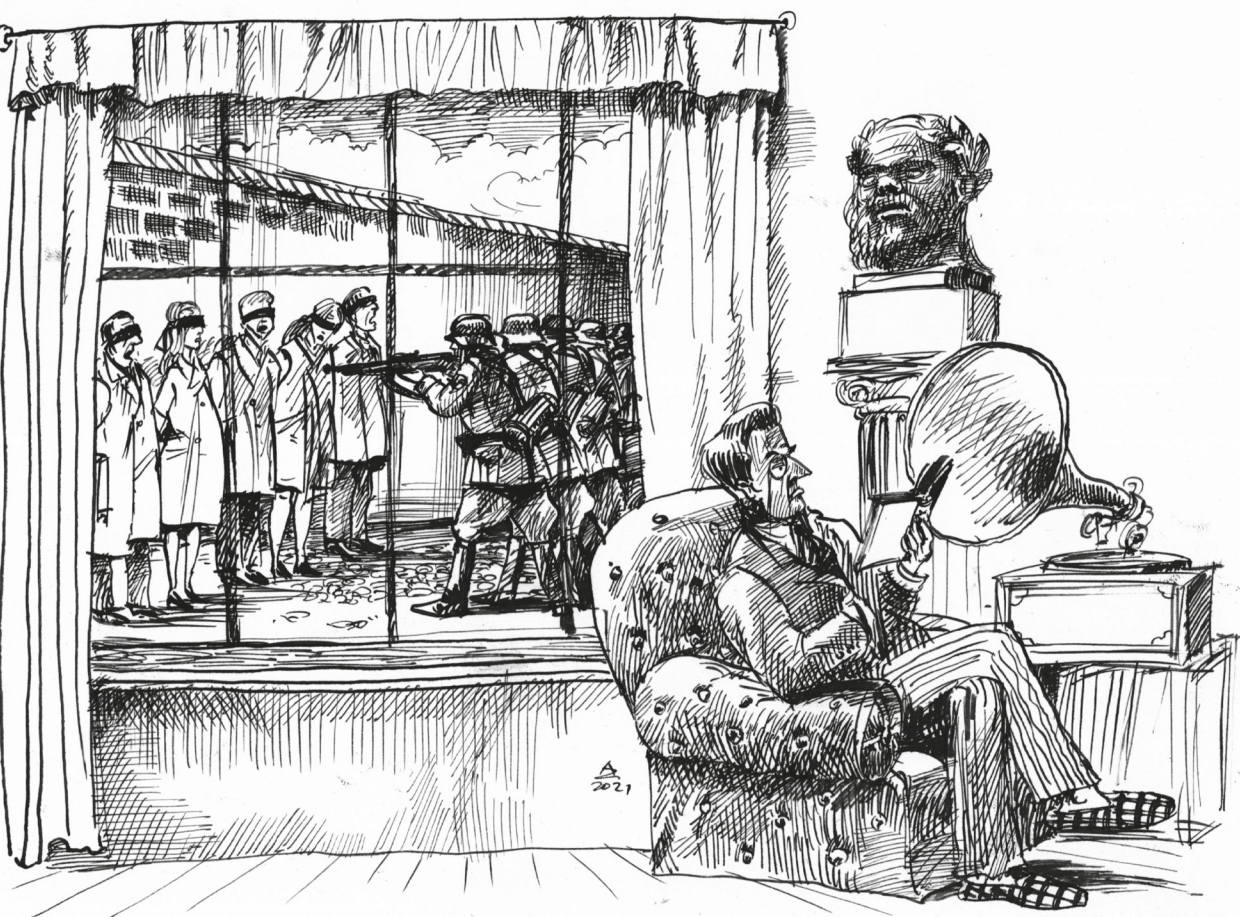
Popękany środek

Niewykluczone zatem, że to margines środkowoeuropejski będzie się już niedługo tak wypychał do europejskiego centrum, aż marginesem będzie już tylko z nazwy – literatura środkowoeuropejska przejmie bowiem cechy „centralne”, zachowując jedynie lekkie regionalne naleciałości.

Nie można jednak wykluczyć, że literatura środkowoeuropejska może pozostać marginesem na wieki, wciąż tkwiąc na rozdrożu. Granice nie zostaną wymazane, mentalność nie ulegnie modyfikacji.

Żadnego z tych wariantów nie można nazwać ani pozytywnym, ani negatywnym. Wiele zależy od polityki, która niepodzielnie rządzi regionem. Każdy kraj środkowoeuropejski ma też swoją specyfikę, to jasne. Inaczej tę transformację będą przechodzili Czesi, inaczej Słowacy, jeszcze inaczej Polacy (Niemcy i Rosjanie stanowią, co oczywiste, osobną kategorię, która czasami zbliża się do naszego „zbioru”).

Na razie literacka mapa kontynentu nie została jeszcze przesunięta, może tylko z lekka poruszona. Wektory są bez przerwy takie same. Północ pozostaje Północą, Zachód Zachodem, a środek kontynentu jest ciągle popękany.



Artur Madaliński

Europa w linijce wiersza

Europa zaparła się Sándora Máraiego co najmniej trzykrotnie: najpierw gdy wyrzekła się swoich najważniejszych wartości, potem – gdy pozostawiła własnemu losowi jego ukochane Węgry, wreszcie – gdy pogрузzyła się w masowej konsumpcji i bezmyślnej wegetacji. Pisarz, choć przywdziewał czasem maskę obojętności, pozostał wierny swojej Europie Środkowej do końca. Na długo przed Milanem Kunderą usytuował ją w przestrzeni ducha.

Artur Madaliński – filolog, literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego. Autor rozprawy *Nicość, pamięć, wyobraźnia. O melancholii w prozie Andrzeja Stasiuka* oraz esejów i tekstów krytycznych, publikowanych między innymi w „Tygodniku Powszechnym”, „Dwutygodniku”, „Nowych Książkach”, „Kulturze Liberalnej”. Stały współpracownik miesięcznika „Znak”.

Niespodziewane spotkania z przeszłością rzadko bywają bezkarne. Jest rok 1943, Sándor Márai przebywa w budapeszteńskim mieszkaniu przy ulicy Mikó i próbuje normalnie żyć, czyli – w jego przypadku – pisać. Wojenna pętla zacieśnia się jednak coraz bardziej, kolejne europejskie miasta rozpadają się pod ciężarem zrzuconych ładunków, radio ciągle powtarza komunikaty o rychłym bombardowaniu stolicy Węgier.

Niedługo przed wyjazdem do Leányfalu (małej wioski pod Budapesztem, gdzie Márai zamieszka wiosną 1944 roku) pisarz idzie do peszteńskiego kina. Grają przedwojenny francuski film – bohater jest dyplomatą, który wielkim samochodem przemierza paryskie ulice, by w finale zjechać na dworzec i wsiąść do pociągu relacji Paryż-Genewa, składającego się „ze świetnych wagonów pulmanowskich”. Oglądającego te sceny pisarza ogarnia nagle głęboka rozpacz i ból – jak wówczas, gdy umiera ktoś bliski. W *Dzienniku*, gdzie znajdujemy ślad tego wydarzenia, zapisuje rozpaczliwe słowa: „Gdzie się to wszystko podziało? Gdzie jest ta Europa, paryskie ulice, po których płyną wielkie samochody z elegancko ubranymi pasażerami, gdzie te wagony pulmanowskie, które przewożą pracujących lub odpoczywających ludzi pomiędzy miastami europejskimi?... Nie ma już Europy. Być może już nigdy, nigdy jej nie zobaczę”¹. Po wojnie, która

¹ S. Márai, *Dziennik 1943-1948*, wybór, przekład, opracowanie, przypisy i posłowie T. Worowska, Warszawa 2016, s. 63.

zmieniła wszystko, pisarz wiódł żywot emigranta i – choć przez kilkanaście lat mieszkał we Włoszech – umarł samotnie w Ameryce.

Obcy w każdym kraju

Dla Máraiego Europa Środkowa była jednym z kluczowych tematów pisarstwa. Rzadko mówił o niej, używając definicji politycznych czy gospodarczych, bo najważniejsze dla tego pojęcia debaty toczyły się, gdy on zajęty był innymi sprawami. Friedrich Naumann opublikował *Mitteleuropę* (tytułowe określenie zapożyczył z pracy swojego imiennika i rodaka, wybitnego ekonomisty Lista), gdy Sándor miał piętnaście lat; w tym samym (1915) roku Tomáš Masaryk wygłosił swój słynny londyński wykład, w którym rozwijał etniczną koncepcję Europy Środkowej. Z kolei w latach osiemdziesiątych XX wieku, gdy o mgławicowym projekcie środkowoeuropejskim pisali György Konrád, Václav Havel, Czesław Miłosz, Danilo Kiš i – oczywiście – Milan Kundera, starzejący się autor *Sądu w Canudos* mieszkał w Ameryce, próbował jeszcze wykonywać swoje literackie pensum (pisał wtedy znakomite *Trzydzieści srebrników*) i zmagał się z umieraniem najbliższych mu ludzi. Przez całe swoje długie życie wiedział jednak, że tożsamość (środkowo) europejska nie jest ani funkcją biologii, ani geografii, lecz formą życia, wyrastającą z dominującej roli oświeceniowego racjonalizmu, trzeźwych wartości węgierskiego patrycjatu i uniwersalnego dorobku kulturowego cywilizacji zachodniej. Mapa to tylko papier, ma znaczenie o tyle tylko, o ile pozwala zakorzenić się w „swojej” przestrzeni, która później poddawana jest rozmaitym (najczęściej mityzującym) strategiom narracyjnym. Stąd Sándor Márai – mający jeszcze pod powiekami błędne obrazy powolnej śmierci mieszczaństwa i rozpadających się Austro-Węgier – Europę definiował na sposób apofatyczny: była dla niego przede wszystkim tym, czym przez większość jego życia już nie była.

Urodził się w 1900 roku w Kassie. Węgry miały wtedy lepszy moment dziejowy, znakomicie rozwijały się po zawarciu z Cesarstwem Austriackim porozumienia, na mocy którego zyskały częściową – lecz istotną dla prób budowania podmiotowości – możliwość współdecydowania o swoim losie. Młody Sándor, syn wziętego prawnika Gézy Grosschmida, wiódł żywot godny przedstawiciela zamożnego patrycjatu, który zdołał się w jego rodzinnym mieście ukształtować – pobierał prywatne lekcje, korzystał z domowej biblioteki, bardzo wcześnie (jako szesnastolatek) ogłosił swoje pierwsze teksty w prasie. Potem studiował (w Pradze i Lipsku), sporo

podróżował (Berlin, Weimar, Paryż, Londyn, Genewa, Bliski Wschód), poznał też Ilonę (Lolę) Matzner, z którą spędził całe życie. I prawie bez przerwy, wiedziony mieszczańskim poczuciem obowiązku, pisał. W latach trzydziestych opublikował kilka ważnych książek (między innymi *Rozwód w Budzie* czy *Zbuntowanych*) i – po powrocie do ojczyzny – stał się jednym z najlepiej rokujących węgierskich pisarzy. Młodość, zmysły, literatura – nic więcej wówczas go nie zajmowało. To był jego złoty wiek, być może najlepsze lata w życiu.

Epoka jest jednak diabelnie polityczna, historia nieustannie przesuwająca granice – w 1920 roku Kassa, na skutek podpisania traktatu w Trianon, stała się Koszycami i znalazła się w państwie czechosłowackim. Pierwszy arbitraż wiedeński zwrócił Kasę Węgrom, ale na dłuższą metę sprawa była przegrana – po drugiej wojnie miasto znów oddano Czechosłowacji. „Kassa padła”, notuje w 1945 roku Márai² i można te dwa słowa uznać za symboliczny początek nowego losu, którym jest dla niego wygnanie. Trzy lata później pisarz wyjedzie z Węgier i będzie „obcym w każdym kraju i każdym świecie”, jak pisał Emil Cioran, inny uchodźca ze środkowoeuropejskich ziem³. Lapidarny zapis w *Dzienniku* ostatecznie pieczętuje też dyskurs nostalgiczny, który pisarz toczy już od wielu lat i którego ślady znajdujemy w jego twórczości na każdym kroku. Wszystko przepadło, nie ma już patrycjatu, nie ma pięknych wagonów, nie ma Kassy i nie ma – to jasne – powrotu do wspaniałego czasu sprzed całkowitego załamania.

Uciekająca Europa

Przemijającą postać tamtego świata opisał w uznawanych za jedno z najwybitniejszych jego osiągnięć prozatorskich *Wyznaniach patrycjusza*. Budapeszteńskie mieszczaństwo – można byłoby je nazwać także środkowoeuropejskim – pisarz przedstawia, stosując osobliwą zmienną ogni-skową: z pieczołowitym weryzmem opisuje urokliwe zakamarki miasta (place, zaułki, kamienice, bank, szpital, kawiarnię), przestronne mieszkania, jadalnie z filarami, srebrne sztucce i porcelanowe zastawy, ale też osadza ceremoniał patrycjatu w szerokim spektrum społecznym. Dzięki tej optyce uwydatniają się klasowe podziały i nierówności – dla jednych

² Tamże, s. 164.

³ E. Cioran, *Dywagacje*, przeł. I. Kania, Warszawa 2017, s. 14,

wille pod lasem, służba domowa i carskie apartamenty w hotelu, dla drugich praca za półdarmo, przytułki dla biednych i publiczne cmentarze. Dlatego *Wyznania*... nie są bezgraniczną apoteozą patrycjatu, choć

Sándor Márai – mający jeszcze pod powiekami blednące obrazy powolnej śmierci mieszczaństwa i rozpadających się Austro-Węgier – Europę definiował na sposób apofatyczny: była dla niego przede wszystkim tym, czym przez większość jego życia już nie była.

pisarz często idealizuje kastę uprzywilejowanych, przedstawiając ją jako wspólnotę świetnie wykształconych, sporo czytających i postępujących wedle stoickiego nieledwie *modus vivendi* dziedziców ponadczasowych wartości. Miejscy patrycjusze nie garną się do politycznych stanowisk i apanaży, wolą prowadzić dostatnie życie, rzetelnie pracować i dyskontować swoją pozycję społeczną, ugruntowaną przez pokolenia znamienitych przodków. Kurczowo trzymają się rozumu jako najważniejszego drogowskazu, który pozwala unikać wszelkich przejawów myślenia

populistycznego, ale też sankcjonuje i petryfikuje elitarnie poczucie wyższości. Są przekonani, że odgrywają wyznaczoną im przez historię rolę, choć równocześnie nie widzą, jak bardzo anachroniczne stają się ich życiowe praktyki. Pisarz zdołał uchwycić ów świat mieszczańskich rytuałów w chwili, gdy (wskutek Wielkiej Wojny) odchodzi bezpowrotnie – *Wyznania patrycjusza* są zapisem śmiertelnego paroksyzmu węgierskiej klasy wyższej, która brutalnie zderza się z „masami”. „Człowiek masowy”, o którym pisał Ortega y Gasset (a Márai pilnie rozprawy hiszpańskiego filozofa czytywał), zadowolający się szczątkami idei, pustymi słowami i przesądami⁴, zakończył hegemonię mieszczaństwa i doprowadził do ostatecznej kląski projektu europejskiego. Pospolitość stawała się prawem, przeciętność wypierała wysoką kulturę, patrycjat zmieniał się w klasę średnią, literatura – w przemysł księgarski. Autor *Wyspy* śledził te procesy z narastającym niepokojem, który skłonił go wreszcie do całkowitego porzucenia marzeń o zwycięstwie europejskiego, wyrastającego z szacunku dla tradycji i jednocześnie otwartego na świat myślenia.

Márai dał temu wyraz w felietonach pisanych dla budapeszteńskiego dziennika „Pesti Hírlap”. Jeden z pierwszych tekstów poświęcił analizie

⁴ J. Ortega y Gasset, *Bunt mas*, przeł. P. Niklewicz, Poznań 2020, s. 98.

wyczerpania idei Europy: „coś, w czym ja się urodziłem, świat, na który przyszedłem, na moich oczach przestał istnieć; jeszcze nawet nie zdążyłem uruchomić świadomości, a już był wspomnieniem” – pisał w święta Bożego Narodzenia 1936 roku⁵. A przecież jeszcze tak niedawno, jeszcze dziesięć lat temu – czytamy w tym samym felietonie – autor przywołanych słów podróżował do wielu krajów kontynentu, wierzył, że wspólnie z pisarzami francuskimi, włoskimi czy angielskimi sprzymierzą się kiedyś, „by bronić europejskiego ducha”. Autor *Pierwszej miłości* widział już wtedy bardzo wyraźnie, że „europejski obraz świata”, budowany w oparciu o współistnienie – i wzajemną komplementarność – samoświadomości poszczególnych narodów z samoświadomością europejską, pograża się w brunatnym nurcie nacjonalizmu. Trzy lata później, w pierwszych dniach września 1939 roku, z taką Europą rozstanie się ostatecznie – w przejmującym trenie przyzywa ją zza światów, wraca do weimarskich bibliotek, wspomina francuskie wioski z gęstwinami winnic, kredowe klify Anglii, „oblicza Bergsona i pani Curie” i ciągle nie może uwierzyć, że to naprawdę pożegnanie. A jednak wszystko to, co uznawał za kulturowy dorobek europejskiego ducha – pozwalający rozumieć cierpiących i szanować odmienne punkty widzenia empatyczny racjonalizm, dające odpór wszelkiej demagogii krytyczne myślenie, rozumiejąca narodowe odrębności solidarność, stabilizująca wspólnotę odpowiedzialność społeczna – wszystko to należało już do przeszłości. Swoje żałobne *adieu* kończy Márai intymnym niemal wyznaniem: „Teraz, kiedy nakładasz maskę gazową, która może na zawsze zakryje ci tamto inne oblicze – personifikuje żarliwie – raz jeszcze patrzę w twoje oczy, w te twoje jaśniejące światłem rozumu oczy, a ponieważ nie mogę uczynić nic innego, wyciągam ku tobie ramiona. Widzę cię, przywołuję, i także w chwili pożegnania wołam, że wierzyłem w siły, które powołały cię do istnienia, i póki żyję i mogę mówić, chcę wierzyć, że od terroru instynktów potężniejsza jest siła rozumu i solidarności”⁶.

⁵ S. Márai, *Wprowadzenie do kontynentu*, w: tenże, *Kronika niedzielna*, przeł. I. Makarewicz, Warszawa 2019, s. 16.

⁶ S. Márai, *Pożegnanie*, w: *Kronika...*, s. 11.

Kassa zwana Koszycami

Póki żył, pisał więc o Europie. Zbudował ją sobie – fantazmat towarzyszący mu przez dziesięciolecia poniewierki – na gruzach tej realnej, której śmierć widział na własne oczy. Wracał do niej w *Dzienniku*, przywoływał w wielu książkach prozatorskich (choćby *Pokoju na Itace*, *Dziele Garreńów*, *Pierwszej miłości*, *Dziedzictwie Estery*), analizował w zapiskach publicystycznych. Wykorzystywane w tych tekstach rozmaite metody narracyjne, formy podawcze i gatunki łączy kategoria straty, wokół której ogniskują się prozatorskie poczynania Márai. I choć jego Europa jest – jak idea „środkoeuropejskości” – bytem widmowym, o rozmytych granicach i niejasnych cechach dystynktywnych, to jest także jego jedyną ojczyzną. Nie tą oficjalną, z godłem, flagą czy instytucjonalnymi atrybutami władzy, lecz tą prawdziwą, która – jak pisał w *Niebie i ziemi* – „może jest językiem, może dzieciństwem, może pewną ulicą z dwoma rzędami platanów, może bramą, w której kiedyś stałem, słuchając pewnej melodii, jaka przez okno mieszkania na piętrze wyfrunęła na wiatr, a może słowami »zorza wieczorna«”⁷. Prawdziwej ojczyzny nie da się zatem przyszpilić w definicji czy zamknąć w herbarzu, trzeba jej obraz kreślić ciągle od nowa, wyprowadzać go z własnego doświadczenia, w którym przeszłość powraca jako najważniejszy budulec tożsamości. Jeśli wszystko inne przepadło, a wspólnota europejska nie chce (i nie jest w stanie) przemyśleć własnego udziału w dramatycznych wydarzeniach dwudziestego wieku, pozostaje tylko to, co najbardziej swoje, zobaczone między platanami, usłyszane w bramie, wypowiedziane drżącym szeptem. O tym trzeba – szukając ojczyzny – rozprawiać. Nie bez przyczyny Sándor Márai, choć dobrze znał kilka języków, do końca życia pisał po węgiersku. Mógł stworzyć *napló* (z węgierskiego „dziennik”), w żadnym razie *diary*.

Dlatego nigdy nie mówił Koszyce, zawsze Kassa lub (w powieściach) Miasto. Miejsce urodzenia pozostało najważniejszą przestrzenią jego życia, przestrzenią, którą utożsamiał z ojczyzną i Europą nie ze względu na położenie geograficzne, lecz pamięć o gotyckiej katedrze, domu przy ulicy Masarskiej 35, zakładzie fryzjerskim na rogu ulicy Forgacha czy starych cmentarzach. Nade wszystko zaś przez wspomnienie spokojnej atmosfery małego miasteczka, w którym dobre życie wiodą zarówno stateczni

⁷ S. Márai, *Niebo i ziemia*, przeł. F. Netz, Warszawa 2011, s. 80.

patrycjusze („węgierscy Buddenbrookowie”), jak i prości sprzątacze ulic. Rzecz jasna, Márai Kassę mitologizował⁸, była dlań arkadyjskim terytorium, utraconym na zawsze, ale ciągle powracającym w snach i na jawie jako świat idealny, w którym – to jeszcze raz Cioran – wszystko jest możliwe, lecz nic nie przechodzi w akt⁹. Gdy w czasie drugiej wojny, po latach nieobecności, przyjechał do zwróconej Węgrom Kassy, poczuł się obcy nie tylko w jej murach (drażniły go nowoczesne budynki ze stali i szkła), ale też w jej czasie – brakowało mu, jak nam wszystkim, dzieciństwa. Wyjechał szybko, po trzech dniach, bez pożegnania.

Gdy definitywnie opuścił Węgry, do języka i mitologii kassańskiej dołożył jeszcze kulturę. To ona była jego Europą Środkową, w niej odnajdywał uniwersalną duchowość – fundament jego twórczości i ratunek w najczarniejszych chwilach wyobcowania. Był w niej zanurzony po uszy – choć nieraz brakowało mu na chleb, słuchał muzyki, oglądał filmy i czytał. *Dziennik* jest, poza wszystkim, świadectwem kurczowego trzymania się najważniejszych dla kultury zachodniego świata opowieści. Lista lektur, choć dzisiaj pachnie manierycznym ekskluzywizmem, poświadcza wierność ideom uznawanym przez pisarza za jedyną drogę do restytucji zniszczonych przez bagnety i czołgi wartości europejskich. Biblia, Szekspir, Goethe, Epiktet, Novalis, Marek Aureliusz, François de La Rochefoucauld, Gibbon, Mann, Stendhal, Proust, Molière, Colette – Márai czyta kompulsywnie, najczęściej w nocy. To także kilku rodaków – János Arany, Sándor Petőfi, Mór Jókai, Mihály Babits – którzy, twierdzi pisarz, uczynili z Węgrów naród europejski w takim samym stopniu jak władcy z dynastii Arpadów. No i najważniejszy, Gyula Krúdy, w którego książkach autor *Żaru* odnajduje wszystko, dla czego warto być Węgrem. Na starość został mu już tylko on, najważniejszy nauczyciel: „Lektury: nocą gazeta,

**I choć jego Europa jest – jak idea
„środkowoeuropejskości”
– byłem widmowym,
o rozmytych granicach
i niejasnych cechach
dystynktywnych, to jest także
jego jedyną ojczyzną.**

⁸ Por. F. Netz, *Stary człowiek z San Diego*, w: tenże, *Ćwiczenia z wygnania*, Katowice 2008, s. 19-75.

⁹ E. Cioran, *Rozmowy*, przeł. I. Kania, Warszawa 2017, s. 248.

potem Krúdy. Nowych książek już nie czytam” – napisze niedługo przed samobójczą śmiercią¹⁰.

Na koniec jeszcze jedna metafora, którą Sándor Márai wykorzystał w swojej opowieści o utraconej europejskiej duchowości. „Ojczyzna horyzontalna – pisał po dekadach wygnania i tułania się po świecie – jest nie-trwała i zmienna. Ojczyzna wertykalna jest zwarta i trwalsza od kruszcu. Czasami oznacza tylko linijkę wiersza¹¹”. Czasami ta linijka jest wielka jak świat. Albo przynajmniej Europa. Nawet ta, której nie ma.

¹⁰ S. Márai, *Dziennik 1977-1989...*, Warszawa 2020, s. 386.

¹¹ Tamże, s. 282.



Witoldo

Z Klementyną Suchanow,
autorką biografii Witolda Gombrowicza,
rozmawia Zbigniew Rokita

Klementyna Suchanow – pisarka, redaktorka, tłumaczka, biografka Witolda Gombrowicza. Autorka między innymi dwutomowej książki *Gombrowicz. Ja, geniusz*, za którą została nominowana do Nagrody Literackiej NIKE.

ZBIGNIEW ROKITA: Wspomina pani, jak w przededniu wojny Witold Gombrowicz spacerował po Warszawie z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i mówił, że wnet to wszystko legnie w gruzach. Gombrowicz nie uwierzył w sanacyjną propagandę o rychłym zwycięstwie nad Hitlerem, był realistą?

KLEMENTYNA SUCHANOW: Witold nie miał złudzeń. Rozumiał, że wojna wybuchnie, a Polska nie pokona Niemiec. Być może jego intuicje lub wiedza wynikały z faktu, że jego kuzyn, Gustaw Kotkowski, był agentem wywiadu brytyjskiego. Kotkowski wrócił z Londynu do Polski w 1938 roku i pod przykrywką dziennikarza przeprowadzał wywiady ze znaczącymi politykami. Rozmawiał na przykład z Joachimem von Ribbentropem czy z szefem włoskiej dyplomacji Galeazzo Ciano. Nie wiem, czy Kotkowski zdradzał coś Gombrowiczowi, czy też Gombrowicz sam z siebie miał dobrą intuicję. Wiem, że byli ze sobą bardzo blisko, a podczas wojny obaj trafili do Argentyny i razem tam mieszkali. Kotkowski przez całą wojnę nadal był agentem, dostawał pieniądze od Brytyjczyków i Amerykanów, niewykluczone, że z tych alianckich środków pomagał Witoldowi (zajmował się rozpracowywaniem nazistów i ich zwolenników w Argentynie).

Poza tym Gombrowicz panicznie obawiał się, że w razie wojny trafi do wojska. Gdy pojawiło się więc widmo jej wybuchu, wołał uciekać.

Czego konkretnie się bał – samej obecności w armii i związanych z tym ustaleń międzyludzkich czy śmierci?

W dłuższej perspektywie śmierci pewnie też, ale lękiem napawało go przede wszystkim samo wojsko i związane z nim upokorzenia.

Pod koniec sierpnia 1939 roku trzydziestopięcioletni Gombrowicz wsiada na statek w Gdyni i odpływa do Argentyny. Do Polski już nigdy nie wróci. Czy podczas wojny wiedział, co dzieje się w kraju?

Kronos pokazał, że Gombrowicz bardzo uważnie śledził przebieg wydarzeń. *Kronos* zaczął spisywać w 1953 roku, więc wszystko, co dotyczyło lat wojennych, pisał z pamięci. Pracowałam nad przypisami do polskiego wydania i okazało się, że on niemal nigdy nie mylił się co do dat, na przykład bitew. Wydarzenia wojenne miały dla niego duże znaczenie. Pewnego razu spotkał na ulicy w Buenos Aires Gustawa i kuzyn podczas rozmowy o wojnie amerykańsko-japońskiej podał pucybutowi obuwie do czyszczenia. Witolda to oburzyło, uznał, że w obliczu tak ważnych tematów nie można zajmować się czyszczeniem butów i zerwał z Kotkowskim stosunki na blisko rok.

Tylko z tego powodu?

Tak. Z argentyńskiej prasy mógł znać najważniejsze wydarzenia (a argentyńska prasa powtarzała informacje głównie za agencjami brytyjskimi) – co jednak mógł wiedzieć o Polsce? Nie tak dużo. Sprawdziłam na przykład, co w Argentynie pisano o powstaniu warszawskim. A przecież w Warszawie pozostała jego rodzina, w tym matka, mogły pozostać rękopisy, to był dla niego ważny temat.

I jaka była argentyńska perspektywa powstania warszawskiego?

Argentyńczycy wspominali o walkach – choć zaczęli się tym zajmować z kilkudniowym opóźnieniem – ale ich punkt widzenia różnił się od polskiego. Pisali głównie o tym, że Rosjanie są pod Warszawą, idą na Berlin, ale powstanie przeszkadza im w szybszym poruszaniu się i szybszym zakończeniu wojny. Po miesiącu zaczęto publikować informacje o sytuacji w samej Warszawie, ale Witold opuścił w międzyczasie Buenos Aires i wyjechał w góry, do małej miejscowości La Falda. Był tam hotel Edén prowadzony przez parę Niemców, którzy od początku kariery Hitlera finansowali go. Byli jego bliskimi przyjaciółmi, pół roku spędzali w Ameryce Południowej, a drugie pół w Berlinie i mieli prawo wchodzić do biur Hitlera bez zapowiedzi, jako bliscy przyjaciele. Ich hotel był znanym miej-

scem nazistowskich spotkań. Jesienią 1944 roku po okolicy zaczęły krążyć pogłoski, że w razie przegranej wojny może zamieszkać u nich Hitler. Ich hotel nadawał się do tego znakomicie – miał lądowisko dla samolotów, ogromne zapasy, był niezależnym księstwem.

Czyli Gombrowicz miał kontakt z nazistami tak podczas wojny, jak i po niej?

W Buenos Aires było sporo Niemców i sporo z nich było zwolennikami Hitlera. Na zdjęciach czy na filmach widać, że naziści nie kryli się tam ze swoimi poglądami, mieli ciche przyzwolenie od rządu argentyńskiego. Witold stykał się z nimi. Bywał też w serwującej kuchnię wschodnioeuropejską restauracji ABC, którą prowadziły osoby o nazistowskich sympatiach. Na jej zapleczu knuto różne dziwne plany, ABC pośredniczyło też najprawdopodobniej w przechowywaniu Adolfa Eichmanna w Argentynie.

Gombrowicz panicznie obawiał się, że w razie wojny trafi do wojska. Gdy pojawiło się więc widmo jej wybuchu, wołał uciekać.

Dobrze słucha się tego, gdy mówi pani o Gombrowiczu per Witold. Widać intymną relację pani jako biografki ze swoim bohaterem.

To i specyfika języka hiszpańskiego, i wynik rozmów z jego żoną Ritą.

A jakim Gombrowicz był recenzentem powojennej Europy i podziału zimnowojennego na dwa obozy?

Bezpośrednio po zakończeniu wojny Witold przede wszystkim boi się o bliskich, dopytuje, próbuje trafić na ich ślad. Martwi się na przykład bardzo o Brunona Schulza. Później, gdy po 1964 roku mieszkał już w Europie, w Vence, z wielkim przejęciem komentował wydarzenia roku 1968. Ów czas na Zachodzie był odbierany głównie jako rewolucja obyczajowa, natomiast Gombrowicz denerwował się, że świat nie widzi, jak straszne rzeczy dzieją się w tym samym czasie w Polsce czy Czechosłowacji. Wszyscy pytali go, co myśli o rewolucji obyczajowej, a on martwił się o polskich Żydów, był filosemitą. Czuł, że tamta część Europy została zapomniana.

Istnieje znamienna wymiana korespondencji między Witoldem a Jerzym Giedroyciem. Gombrowicz publikował w „Kulturze” w odcinkach swój *Dziennik*. Jeden z fragmentów dotyczył jego podróży południowoamerykańską rzeką Parana – opis był bardzo metafizyczny, refleksyjny.

I to chyba Giedroyciowi nie odpowiadało, wołał wcześniejsze fragmenty o komunizmie, o Miłoszu, o literaturze emigracyjnej i tak dalej, zwlekał z publikacją, Gombrowicz się dopominał. W końcu wytknął redaktorowi, że ten woli politykę, a on zajmuje się literaturą. Witold śledził politykę, był uważnym obserwatorem, ale nie chciał być jak Miłosz postrzegany jako publicysta polityczny. W sytuacji powojennej nie był na bieżąco z sytuacją w Polsce, prasa nie docierała albo docierała z opóźnieniem. Gdy czegoś nie wiedział, pisał Giedroyciowi, że zdaje się na niego.

A czy osoba z takim ego jak Gombrowicz nie miała nawet pod koniec życia – gdy stał się czołowym pisarzem, często pytanym o zdanie – pokusy, aby objaśniać czytelnikom świat również na poziomie politycznym czy cywilizacyjnym? Pojawiało się to w komentarzach salonowych czy kuchennych, ale on był zainteresowany przede wszystkim byciem artystą, bronił artystycznej niezależności, wołał tworzyć świat, w którym nie dotyczą go ziemskie prawa. To interesowało go najbardziej.

Ale zmysł polityczny miewał znakomity. Przywołuje pani jego wyliczenia, na podstawie których przewidział, że komunizm upadnie za 20 lat – pomylił się tylko o rok.

Śledził statystyki, analizował dane, rozumiał, co dzieje się na świecie. W 1963 roku powrócił do Europy i znalazł się w Berlinie Zachodnim. Polskie władze rozpętały wówczas przeciwko niemu kampanię propagandową, przedstawiano go jako hitlerowca, zaczęły toczyć się wokół niego rozmaite intrygi, nocami dzwoniły telefony i tak dalej. Mam wrażenie, że wówczas zaczął swój zmysł polityczny tracić, pogubił się. Rozumiał teoretycznie, czym jest zimna wojna, ale rzeczywistość go przerosła. Pogorszyło mu się zdrowie, na kilka miesięcy wyłądował w klinice.

Z napięciem zimnowojennym w Europie było tak jak z wojskiem – on wiedział, że jedno i drugie go zniszczy, że to dla niego za mocne. Przypadek berliński pokazał, że miał rację, zwłaszcza że mogły spotkać go gorsze rzeczy.

Wojnę i pierwszych kilkanaście lat zimnej wojny przeżył spokojnie w Argentynie. Jak stamtąd wyglądała zimna wojna? Czy śledził równie uważnie argentyńską politykę?

Tak, w Argentynie – choć poczuwa się ona do europejskości – najpierw liczyła się polityka miejscowa, południowoamerykańska, a dopiero później wydarzenia w Europie. Stamtąd zimna wojna wyglądała inaczej.

Argentyńczycy doceniają Gombrowicza za fragment *Dzienników*, w którym opisuje swoje spotkanie z Robym Santucho. Boby był wówczas dwudziestoparoletnim zbuntowanym Indianinem, studentem. Po latach miał stać się czołową postacią argentyńskiego ruchu oporu wobec dyktatury, miejscowym Che Guevarą. Witold jego przyszłość odczytał po jego ręce – opisał, że jest miękka, a jednocześnie tkwi w niej zdecydowanie, jakby była bronią. Argentyńczycy powtarzają, że nikt nie dostrzegł, kim jest chłopak, a zrobił to tylko polski pisarz.

Ale Gombrowicz przyglądał się rozlicznym przewrotom i zmianom rządu w Argentynie, a co za tym idzie inflacji, z europejskim przymrużeniem oka. Nie traktował tego na poważnie, choć gdy bombardowano Casa Rosada, gdy Perón musiał uciekać, a działo się to w pobliżu jego domu, bał się i uciekł za miasto.

Gombrowicz pamiętał wojnę polsko-bolszewicką, międzywojnie przeżył w nieufnej wobec ZSRR Polsce, od 1950 roku współpracował z emigracyjnym pismem Giedroycia. Czy mimo to, na wzór intelektualistów francuskich czy włoskich, doświadczył ukąszenia komunizmem, fascynacji nim? Komunizmem, który deklarował chęć rozmontowania systemu, którego wielu elementów sam Gombrowicz był krytykiem.

Sam siebie nazywał wywrotowcem i człowiekiem lewicy, ale komunizm nie był w stanie go uwieść. Nie zafascynował się nim nawet przed wojną, gdy widział komunizm nie establishmentowy, a oddolny, propagowany przez ludzi z niższych klas, którzy go interesowali i stanowili jego kawiarniany krąg. Jego artystyczna dusza pchała go do wywracania porządku, ale jednocześnie był przywiązany do *status quo*. W pewnym momencie zdecydował się, że nie wróci do Polski Ludowej, a pozostanie na stałe w Argentynie, bo wiedział, że będzie musiał zrezygnować z wolności. Wówczas, chcąc znaleźć posadkę w ambasadzie polskiej w Buenos Aires, podkreślał, że za nowym porządkiem był od dawna, że równość ludzi czy powszechny dostęp do edukacji były dla niego oczywiste. Ale pracy jako attaché kulturalny i tak nie dostał. Nie wzbudził zaufania.

| Kłamał?

Był szczery. Nie interesowała go planowana gospodarka czy terror, zajmowały natomiast ludzkie, czasami socjalne aspekty, których nie uregulowała Polska przedwojenna, dotyczyło to na przykład reformy rolnej. Rozumiał, że zmieniają się czasy, że pewnych procesów nie można zatrzymywać, ale

Gombrowicz ma coś, co przemawia do kolejnych pokoleń. Dzieje się tak między innymi dlatego, że pozostał wierny sztuce, a to przedłuża życie pisarza.

nie utożsamiał tego z komunizmem. Ten był dla niego zaprzeczeniem wolności, on jako artysta nie odnalazłby się w tym systemie. Nie mógłby tak jak Miłosz doświadczyć ukąszenia. Porównywałam pisma Miłosza z ambasady polskiej w Waszyngtonie z propozycją, którą Witold napisał dla placówki

w Buenos Aires w sprawie rozwijania polskiego życia kulturalnego w Argentynie. Widać duże różnice. Miłosz wojnę przeżył w Polsce, rozumiał, że pewnych rzeczy w komunizmie zrobić się nie da, miał włączoną autocenzurę, a Witold nie wiedział, że chce niemożliwego – na przykład postulując promocję literatury żydowskiej.

| Był lewicowy, ale gdy konfrontował się z lewicowymi artystami, lubił wygłaszać poglądy konserwatywnego szlachcica.

Tak, jeszcze w przedwojennych kawiarniach uprawiał taką grę: gdy siedział z lewicowcami, udawał prawicowca i odwrotnie. To była zabawa w adwokata diabła. Poza tym lewicę rozumiał w kategoriach humanistycznych.

| A czy Gombrowicz odnosił się do debaty w sprawie tożsamości Europy Środkowej? Definiował siebie jako pisarza z Europy Środkowej?

Nie. Kulturowym punktem odniesienia była dla niego Europa Zachodnia, Paryż czy Londyn. Wschód go nie pociągał. Myślałam w tym kontekście o jego języku. U wielu pisarzy z naszego regionu po wojnie pojawiają się rusycyzmy. Często – jak Witold – dorastali w otoczeniu języka rosyjskiego, lubili sięgać po zapożyczenia, ale u Gombrowicza tego zupełnie nie ma. On mentalnie był mocno związany z zachodem kontynentu. To szczegół, ale już podczas I wojny światowej jako mały chłopiec nanosił na mapę Europy miejsca kolejnych bitew. Co jednak ciekawe, mimo że mieszkał w Imperium Rosyjskim, były to głównie bitwy w Europie Zachodniej – nie Wschodniej. Czuł, że kultura idzie z Zachodu, nie mógł się doczekać, by zostać jego częścią, chciał, żeby ten Zachód jak najszybciej do Polski przyszedł.

A czy tęsknił za jakimiś elementami Polski przedwojennej?

Już przed wojną czuł, że porządek ówczesnej Polski musi upaść. On sam uważał, że wojna była mu potrzebna, żeby uwolnić się od dawnego życia, żeby uciec, rozwinąć się. Ale wychodził również poza osobistą perspektywę i twierdził, że bez wojny trudno byłoby tym światem tak skutecznie wstrząsnąć.

Mówiła pani, że Gombrowicz jest najbardziej oryginalnym pisarzem, jakiego mamy. Rzeczywiście tak jest?

Po pierwsze, to pisarz dużego formatu, a takich w literaturze polskiej mamy niewiele. Nie zajmuję się pisarzami, którzy są chodliwi w jakiejś dekadzie, a później się o nich zapomina. Tych, którzy zostaną, mamy mało, w XX wieku przydarzyło się nam takich kilku i spośród nich Gombrowicz najlepiej się z upływem czasu broni. Ma coś, co przemawia do kolejnych pokoleń. Dzieje się tak również dlatego, że nie jest obarczony tym, na co inni sobie pozwolili – nie upolitycznił się, nie angażował. Pozostał wierny sztuce, a to przedłuża życie pisarza.

Czy coś jest dla pani jeszcze w Gombrowiczu niezrozumiałe? Rita Gombrowicz twierdzi, że nie ma już w zanadru żadnych nieopublikowanych dokumentów.

Nie wszystko jest jasne, ale mimo że jestem biografką, uważam, że nie wszystko musimy wiedzieć. Interesowałyby mnie na przykład jego przygody w świecie homoseksualnym Buenos Aires. Szukałam na ten temat na argentyńskich komisariatach materiałów, ale zostały prawdopodobnie zniszczone. Gombrowicz pod koniec lat pięćdziesiątych myślał już o wyjeździe do Europy i organizował sobie paszport. Ponoć dał wówczas łapówkę, aby te materiały zniszczono.

Różnych szczegółów nie znamy i być może nie poznamy. Ale o Gombrowiczu wiemy już tyle, aby móc zrozumieć go jako artystę i jako człowieka.



Aleksander Kaczorowski

Agregat Kundery

Europa Środkowa Milana Kundery jest czymś więcej niż jedynie fenomenem kultury i mitem. To egzystencjalne doświadczenie Europejczyka, którego młodość i wiek dojrzały przypadły na czasy, gdy jego kraj stał się prowincją radzieckiego imperium.

Aleksander Kaczorowski – eseista, autor książek, m.in. *Ota Pavel. Pod powierzchnią*, *Hrabal. Słodka apokalipsa*, *Havel. Zemsta bezsilnych*, tomu rozmów *Europa z płaskostopiem*. Redaktor naczelny wydawanego w Pradze kwartalnika „Aspen Review Central Europe”.

Czechy – będące pod względem kultury i tradycji europejskim Zachodem, z punktu widzenia geografii Środkiem, zaś z perspektywy politycznej od 1945 roku Wschodem – doświadczyły, podobnie jak inne kraje regionu, rozdarcia tożsamości. Zaczęły żyć, jakby powiedział Bohumil Hrabal, sztucznym losem.

Lepsza Europa

To właśnie ten egzystencjalny wymiar konceptu Kundery sprawił, że w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku odbił się on tak szerokim echem w krajach naszego regionu. Współgrał z doświadczeniem milionów ludzi żyjących za żelazną kurtyną. W środowiskach dysydenckich oraz w opiniotwórczych kręgach na Zachodzie zwrócono jednakże uwagę również na polityczny potencjał wypowiedzi czeskiego pisarza i natychmiast go wykorzystano.

Ten aspekt środkowoeuropejskiego mitu Kundery był oczywisty także dla tych rosyjskich pisarzy emigracyjnych, którzy – jak Josif Brodski – obawiali się, że rosnąca popularność koncepcji Europy Środkowej, zarówno w krajach regionu, jak i na Zachodzie, doprowadzi do usunięcia Rosji z mentalnej mapy kontynentu. Jeśli Rosja była synonimem Wschodu i antytezą Zachodu, to nie było dla niej miejsca w przestrzeni wyobrażonej europejskiej wspólnoty. Z perspektywy autora *Ucieczki z Bizancjum*, kontynuatora najlepszych tradycji rodzimej literatury, dziecka Srebrnego Wieku poezji rosyjskiej i wychowanka Anny Achmatowej, koncepcja

Kundera jawiła się jako absurd, była niczym innym jak intelektualnym i moralnym szalbierstwem, mającym na celu wypchnięcie Rosjan poza nawias społeczeństw europejskich, zrównanie ich z koczowniczymi plemionami z azjatyckich stepów.

Innym ryzykownym aspektem koncepcji Kundery było jego przekonanie, że to właśnie Środek Europy jest prawdziwym Zachodem. Jego zdaniem to właśnie tam, pośród narodów zagrożonych u samych podstaw swej egzystencji przez rosyjską satrapię, kultura wciąż jest najważniejszym wyznacznikiem zbiorowej tożsamości. O ile na Zachodzie kultura stała się elementem konsumpcyjnej zabawy, komponentem przemysłu rozrywkowego i nikt nie traktuje jej serio (jeśli nie generuje krociowych zysków), o tyle w Europie Środkowej wciąż jest pasem transmisyjnym do transcendencji, duszy ludzkiej, charakteru narodowego. Krótko mówiąc: jest sprawą serio.

Stąd był już tylko krok do poczucia moralnej wyższości Środkowoeuropejczyków, którzy rzekomo zachowali prawdziwie europejskie cnoty i przywiązanie do wartości, podczas gdy mieszkańcy Zachodu o nich zapomnieli (zaś mieszkańcy Wschodu nigdy ich sobie nie przyswoili). Z tej perspektywy to właśnie środek kontynentu, nazwany przez Kunderę „Zachodem porwanym”, jawił się jako jego rzeczywiste kulturowe centrum, jako prawdziwa Europa.

Pożyteczna ignorancja

To przekonanie legło u podstaw konserwatywnej reakcji na forsowną, środkowoeuropejską modernizację przełomu XX i XXI wieku i formułowanych przez narodowych konserwatystów programów politycznych. Zgodnie z nimi tożsamość regionu jest zagrożona przez współczesne, sprzeczne z dziedzictwem kultury europejskiej, progresywne ideologie zachodnie, podważające fundamenty tożsamości środkowoeuropejskich narodów: religię i kulturę.

Z pewnością można wskazać znacznie więcej takich niezamierzonych przez Kunderę konsekwencji jego konceptu. Być może właśnie to jest głównym powodem, dla którego nie zgadza się on na przedruki swego najbardziej znanego eseju *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*. Pisząc go w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, był przekonany, że jest świadkiem zmierzchu kultury Zachodu i że los Europy Środkowej jest tylko jego szczególną egzemplifikacją. Jego esej

miał być pożegnaniem ze światem, którego czuł się częścią, elegią, nie zaś profetyczną wizją czy wezwaniem do działania.

Kundera nigdy nie uważał się za dysydenta i nim nie był. W połowie lat siedemdziesiątych zamieszkał we Francji, a niedługo później został pozbawiony obywatelstwa czechosłowackiego, stając się wygnańcem. To wtedy uświadomił sobie, że dla swych nowych przyjaciół, znajomych czy sąsiadów, a także dla czytelników, jest człowiekiem znikąd, przybyszem z małego wschodnioeuropejskiego kraju, w którym mówi się językiem podobnym do rosyjskiego i prawdopodobnie używa się rosyjskiego alfabetu.

Właśnie ta konfrontacja z ignorancją Zachodu sprawiła, że Kundera poczuł się Środkowoeuropejczykiem. Dopóki żył w Czechach, nie przyszło mu do głowy, że jego europejska tożsamość mogłaby być kwestionowana przez kogokolwiek, włącznie z komunistycznymi aparaczkami rodzimego chowu, a tym bardziej przez Rosjan, których miał okazję poznać podczas swoich wizyt w Związku Radzieckim w latach sześćdziesiątych. Wystawiano tam wówczas jego sztuki, a radzieccy intelektualiści i artyści cieszyli się większą swobodą twórczą niż kiedykolwiek wcześniej. Ludzie ci wiedzę o najnowszych trendach kultury zachodniej nierzadko czerpali z czeskich czy polskich gazet, niektórzy w tym celu uczyli się tych języków.

Kundera nie musiał tłumaczyć przedstawicielom moskiewskiej czy leningradzkiej inteligencji, kim są Czesi, nie spotykał się z niezrozumieniem, gdy wymieniał nazwiska najśłynniejszych rodzimych autorów (choćby niezwykle popularnego w Rosji Jaroslava Haška) ani gdy mówił o związkach czeskiej kultury z kulturą europejską. W Rosji był traktowany jak swój, a zarazem jak Europejczyk. To na Zachodzie poczuł się jak egzotyczny przybysz zza żelaznej kurtyny.

Konfrontacja z ignorancją Zachodu sprawiła, że Kundera poczuł się Środkowoeuropejczykiem.

Wymyślanie krain

Był to zasadniczy punkt wyjścia jego koncepcji Europy Środkowej, jej geneza – doświadczenie odrzucenia przez ignorantów z Zachodu, którzy czują się wyłącznymi dysponentami tożsamości europejskiej i jej dziełstwa. Kundera przypomniał zatem, że europejski modernizm narodził się w Europie Środkowej, a więc także w Czechach (co charakterystyczne, nie używał oficjalnej nazwy „Czechosłowacja”, tak jakby po z górą półwieczu istnienia tego państwa wciąż uważał je wyłącznie za byt polityczny,

**Nieoczekiwana popularność
nie ucieszyła Kundery.
Pod koniec lat osiemdziesiątych
zrezygnował z występów
publicznych
i udzielania wywiadów.**

a zatem nietrwały; jak się okazało, słusznie). Z Czech i z Moraw pochodzili najwybitniejsi XX-wieczni myśliciele i artyści: Zygmunt Freud, Edmund Husserl, Franz Kafka; z Wiedniem związani byli Ludwig Wittgenstein czy Robert Musil. Kundera wymienia znacznie więcej nazwisk (Arnold Schonberg, Béla Bartók, Witold Gombrowicz), starając

się dowieść, że współcześni pisarze czescy, polscy czy węgierscy, nierzadko jak on sam zmuszeni do emigracji, są kontynuatorami tych tradycji.

Nie ma tu miejsca dla Rosjan. „Europa geograficzna, rozciągająca się od Atlantyku po Ural, zawsze była podzielona na dwie odrębnie rozwijające się połowy – pisał Kundera w eseju *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*. – Jedna była związana ze starożytnym Rzymem i z kościołem katolickim (jej znakiem szczególnym jest alfabet łaciński), druga zaś była zakotwiczona w Bizancjum i w kościele prawosławnym (znak szczególny: cyrylica). Pod 1945 roku granica między dwiema Europami przesunęła się o kilkaset kilometrów na zachód i narody, które dotąd uważały się za zachodnie, obudziwszy się pewnego ranka, stwierdziły, że znajdują się na wschodzie”¹.

Czeskiemu pisarzowi chodzi zatem nie tyle o Europę, ile raczej o Zachód, którego częścią miałyby być kraje Europy Środkowej. Pojęć „Europa”, „Zachód”, „Wschód”, „Europa Środkowa” używa tak, jakby były one obiektywnymi bytami, a nie narzędziami pojęciowymi, mającymi ograniczony związek z rzeczywistością historyczną. Jednakże Zachód – mówiąc słowami profesora Jana Kieniewicza – to agregat pojęciowy, wymyślony w XVIII-wiecznej Europie i służący dominacji cywilizacyjnej nad resztą świata.

Europa Wschodnia to rewers tej samej monety, wybitej przez francuskie oświecenie. Termin „Europa” wszedł do powszechnego użytku dopiero w drugiej połowie XVI wieku, po upadku Konstantynopola. Pierwszym autorem, który posłużył się nim w tytule swego dzieła (*De Europa*, 1458), był papież Pius II (Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, 1405–1464), skądinąd autor historii Czech (*Historia Bohemica*, 1458), pierwszego w nowożytnej

¹ M. Kundera, *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*, „Zeszyty Literackie”, 1984, nr 5. Przekład z oryginału francuskiego M.L.

humanistycie dzieła historiograficznego poświęconego krajowi położonemu na wschód od Alp.

Europa Środkowa, najmłodsze z tych pojęć, zaczęło funkcjonować podczas pierwszej wojny światowej, początkowo jako *Mitteleuropa*, czyli obszar niemieckiej hegemonii między Zachodem i Rosją. Terminy „Wschód” i „Zachód” dopiero w XVIII wieku stały się wyznacznikami poziomu ucywilizowania (kolejne oświeceniowe pojęcie, spopularyzowane przez Woltera).

Kłopotliwa sława

Zanim Rosjanie w 1945 roku „porwali Europę Środkową”, Europejczycy mieli dwieście lat, by oswoić się z myślą, że Europa kończy się na rogatkach Wiednia. W owym czasie, po kataklizmie drugiej wojny światowej, wśród Czechów powszechne było przekonanie, że tylko sojusz z Moskwą zagwarantuje im przetrwanie. Zwolennicy partii komunistycznej, która wygrała wybory w 1946 roku, byli przekonani, że gospodarka planowa i stalinowska industrializacja to gwarantowany sposób na to, by dogonić i prześcignąć kapitalistyczny Zachód. Wiarę tę podzielał również urodzony w 1929 roku w Brnie na Morawach Milan Kundera.

Jego ojciec był znanym pianistą, rektorem Akademii Muzycznej w Brnie, a zarazem weteranem legionów czechosłowackich, które walczyły z bolszewikami podczas wojny domowej w Rosji. Mimo to zarówno syn, jak i ojciec sympatyzowali z komunistami. Autor *Żartu* już jako gimnazjalista wstąpił do Komunistycznej Partii Czechosłowacji i pozostał jej członkiem przez następne dwadzieścia kilka lat, aż do inwazji wojsk państw Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 roku.

W tym czasie nic nie wskazywało na to, by uwierzała go zależność Czech od Związku Radzieckiego. Ukończył studia na wydziałach reżyserii i scenariopisarstwa praskiej szkoły filmowej FAMU, gdzie następnie wykładał; w latach pięćdziesiątych opublikował trzy tomy poetyckie, a w następnej dekadzie kilka sztuk teatralnych, zbiór opowiadań *Śmieszne miłości* i powieść *Żart*. Ta ostatnia uczyniła go jednym z najbardziej rozpoznawalnych pisarzy czeskich swoich czasów.

Kolejne powieści, *Życie jest gdzie indziej* i *Walczyk pożegnalny*, nie mogły ukazać się w kraju, ale wyszły we Francji, dzięki czemu uzyskał zaproszenie na Uniwersytet w Rennes, z którego skorzystał w 1974 roku. W ciągu następnych dziesięciu lat opublikował dwie powieści, *Księżę śmiechu*

i zapomnienia oraz *Niežność lekkość bytu*, która stała się międzynarodowym bestsellerem. W 1984 roku ogłosił swój esej *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*. Z pewnością mniej osób zwróciłoby na niego uwagę, gdyby Kundera nie był wtedy tak poczytnym autorem. Można też wątpić w to, czy w innym razie redakcja „The New York Review of Books”

zdecydowałaby się na przedruk tekstu opublikowanego rok wcześniej po francusku w piśmie „Le Debat”.

Nieoczekiwana popularność nie ucieszyła Kundery. Pod koniec lat osiemdziesiątych zrezygnował z występów publicznych i udzielania wywiadów. Od tej pory opublikował kilka zbiorów esejów, jedną dłuższą

powieść *Nieśmiertelność* oraz cztery minipowieści. Żadna z tych książek nie wzbudziła takiego zainteresowania jak jego twórczość z lat osiemdziesiątych, większość z nich nie dorównuje poziomem artystycznym wcześniejszym osiągnięciom pisarza.

Mit, który się spełnił

W Czechach wciąż dyskutuje się o jego zaangażowaniu w komunizm. Wydana w ubiegłym roku biografia Kundery autorstwa Jana Nováka stała się bestsellerem, nadal można ją znaleźć w witrynie niemal każdej praskiej księgarni. Autor skupił się wyłącznie na czeskim okresie życia pisarza i za wszelką cenę postanowił dowieść, że autor *Žartu* był zjadłym stalinowcem, konformistą, a niekiedy także grafomanem. Kundera rzeczywiście debiutował marnej jakości socrealistycznymi wierszami i od końca lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku należał do czechosłowackiego establishmentu kulturalnego. Nie był jednak wyjątkiem – w owym czasie do partii należało wielu utalentowanych pisarzy, którzy po 1968 roku w większości zostali uznani za wrogów reżimu i usunięci z oficjalnego życia literackiego.

Kundera był najwybitniejszym pisarzem w tym gronie. W swym najsłynniejszym eseju przedstawił oryginalną interpretację sytuacji europejskiej w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Podczas gdy zachód kontynentu jednoczył się gospodarczo i politycznie, jego wschodnia część pograżała się w zacofaniu i kryzysie, nierozwiązywalnym w ramach panującego ustroju. Zagroził on stabilizacji i bezpieczeństwu całego kontynentu. Koncepcja, zgodnie z którą zachodni satelici Związku Radzieckiego

Mit Kundery spełnił więc swoją rolę. Polska, Czechy, Węgry i inne kraje regionu „wróciły na Zachód”, stały się częścią nowego transatlantyckiego porządku.

byli bliżsi Zachodowi niż Rosji, brzmiała więc obiecująco. Tłumaczyła to, co chodziło już po głowach architektom polityki międzynarodowej, mianowicie: region ten w przyszłości mógłby stać się buforem, jeśli nie półperyferią, w jakiejś mierze zintegrowaną z europejskim Zachodem.

W styczniu 1988 roku w Londynie Zbigniew Brzeziński postawił tezę, że w nieodległej przyszłości kraje satelickie Związku Radzieckiego mogą uzyskać większą dozę niezależności od Moskwy i w porozumieniu z Zachodem stać się neutralną Europą Środkową, uzyskując mniej więcej taki status, jakim w owym czasie cieszyła się Finlandia². Wówczas brzmiało to fantastycznie, ale niespełna cztery lata później, po rozpadzie Związku Radzieckiego, na porządku dnia stanęło włączenie Europy Środkowej w struktury Zachodu. Mit Kundery spełnił więc swoją rolę. Polska, Czechy, Węgry i inne kraje regionu „wróciły na Zachód”, stały się częścią nowego transatlantyckiego świata. Mimo to „historia nigdy się nie kończy” – przypomniał ostatnio w wywiadzie dla stacji Český rozhlas historyk Timothy Snyder: „Miło myśleć, że przystąpienie do UE i NATO oznacza, że nie ma już żadnych wyzwań. Ale jak widzimy, wcale tak nie jest. Walka o demokrację i walka o wolność w znacznie mniejszym stopniu niż kiedyś dotyczy terytorium. Dawniej chodziło o czołgi i miny, a teraz o wiele bardziej chodzi o memy i umysły”.

Zdaniem Snydera Europa Środkowa wciąż jest swego rodzaju strefą eksperymentu. Wiele rzeczy, które dzieją się dziś na Zachodzie, wydarzyło się najpierw w Europie Środkowej: wyłudzanie majątku prywatyzowanych przedsiębiorstw, rządy oligarchów, cyberataki, a wreszcie pozorna demokracja, w której odbywają się wybory, działają partie polityczne, istnieją procedury, ale zamiast ujawniać lub zmieniać rzeczywistość, wymuszają one zachowanie status quo. Autor *Skrwawionych ziem*, podobnie jak Milan Kundera czy Václav Havel, jest przekonany, że zjawiska zachodzące w Europie Środkowej są skrajną wersją procesów dotyczących całej cywilizacji zachodniej. Twierdzi też, że specyfika regionu polega właśnie na tym, iż umożliwia on wgląd w przyszłość Europy Zachodniej czy Ameryki.

Jak widać, Europa Środkowa wciąż jest użytecznym agregatem pojęciowym. Będzie nim tak długo, jak długo nasz region nie stanie się naprawdę częścią Zachodu.

² Z. Brzeziński, *Powrót do Europy Środkowej*, „Aneks”, nr 49, 1988, s. 3-12. Przekład M.L.



Jakub Majmurek

Kino Wyszehradu: wspomnienie czy przyszłość?

Dziś trudno mówić o spójnym estetycznie czy problemowo kinie wyszehradzkim.
Ale nie bądźmy zbyt pochopni – termin ten
może już niebawem napęłnić się treścią

Jakub Majmurek – publicysta, komentator polityczny, krytyk filmowy. Związany z „Krytyką Polityczną”, publikuje regularnie także w „Kinie”, „Dwutygodniku”, „Tygodniku Powszechnym”, na portalu „Newsweek.pl”.

Na początku *Hanussena* (1988) – węgiersko-niemieckiego filmu Istvána Szabó o narodzinach nazizmu – austro-węgierscy żołnierze budują makietę „cmentarza bohaterów”, który odwiedzić ma sam cesarz. Jeden z nich umieszcza na nagrobnym krzyżu imię panującego. Nadzorujący pracę oficer, który to zauważa, krzyczy wściekły: „Co to ma być?! Chcę normalne nazwiska: Wajda, Menzel, Jancsó!”.

Wajda, Menzel, Jancsó to też trzy nazwiska, które ogólnie zorientowany w historii kina widz z Europy Zachodniej wymieniłby, gdyby spytać go pod koniec lat osiemdziesiątych o kino Europy Środkowo-Wschodniej. Każdy z tej trójki reprezentuje nurt, za sprawą którego jego narodowa kinematografia znalazła się na mapie światowego kina: Szkołę Polską, czeską nową falę i „złotą dekadę kina węgierskiego”.

Co łączyło te trzy formacje? Czy są częściami tego samego zjawiska – kina Wyszehradu?

W cieniu polityki

Kino państw dziś tworzących Grupę Wyszehradzką kształtowało się po wojnie w podobnych uwarunkowaniach polityczno-ekonomicznych. Dla filmowców oznaczało to przede wszystkim całkowite upaństwowienie produkcji filmowej. Po wojnie państwo staje się jedynym podmiotem finansującym i centralnie kontrolującym przemysł filmowy na wszystkich etapach: od produkcji po wyświetlanie w kinach. Wraz ze stalinizacją Europy Środkowo-Wschodniej władze oczekują od kina ścisłego podporząd-

kowania ideologicznym i propagandowym funkcjom oraz trzymania się socrealistycznej poetyki. Ten system rozbijają jednak dość szybko przechodzące przez wszystkie kinematografie demokracji ludowych kolejne fale liberalizacji.

W Polsce odwilż zaczyna się najwcześniej, w połowie lat pięćdziesiątych. Jej wyrazem w filmie jest *Szkoła Polska*: dzieła Wajdy, Munka czy Kawalerowicza. Na Węgrzech procesy destalinizacji w kinematografii przerwywa interwencja wojsk radzieckich w 1956 roku. Zmianę przynosi dopiero rok 1962, początek procesu tak zwanej kadarowskiej konsolidacji. Kończy się wówczas okres wzmożonych represji, na wolność wychodzi większość więźniów politycznych, Węgry zaczynają budowę względnie liberalnego „socjalizmu gulaszowego”, zaczyna się „złota dekada kina węgierskiego”. Mniej więcej w tym samym okresie pojawiają się również pierwsze filmy czeskiej nowej fali.

Liberalizacja poststalinowska wiązała się nie tylko z wejściem na ekrany nowych treści i form, ale także ze zmianami instytucjonalnymi. W Polsce najważniejszą było powstanie w 1955 roku zespołów filmowych. Środki na produkcję otrzymywały one od państwa i musiały realizować film w którejś z należących do niego wytwórni. Wszystkie skupione były w państwowej strukturze Przedsiębiorstwa Realizacji Filmów Zespoły Filmowe. Jednocześnie zespoły zachowywały pewną autonomię w planowaniu produkcji, doborze tematów, pracach literackich, rozwoju scenariusza i tak dalej. To z zespołów wychodziły pomysły na filmy, które władza zatwierdzała lub nie. Na ich czele stali mniej lub bardziej uznani reżyserzy, a najlepsze zespoły filmowe zapisały się w historii jako miejsca, które gromadząc utalentowanych reżyserów, operatorów czy literatów, tworzyły atmosferę twórczego fermentu, wymiany idei i myśli. Stały za wielkimi sukcesami polskiego kina w jego najlepszym okresie między odwilżą październikową a stanem wojennym.

Podobne do polskich rozwiązania pojawiają się na Węgrzech w latach 1962-64. W ramach Węgierskiego Przedsiębiorstwa Filmowego powstają względnie niezależnie zespoły twórcze (nazywane studiami filmowymi), samorządnie kierowane przez samych filmowców. Podobnie jak polskie zespoły mają one możliwość prowadzenia prac nad własnymi projektami artystycznymi i wyboru tematów.

W Czechosłowacji próby oparcia kinematografii o względnie autonomiczne zespoły produkcyjne pojawiają się już w okresie powojennym,

krótki eksperyment zostaje jednak szybko przerwany. W 1954 roku powstają cztery „zespoły twórcze”, które – choć stanowiły część państwowej kinematografii – miały zapewnić filmowcom względną wolność od ingerencji czynnika politycznego. Skupiały, podobnie jak w Polsce, talenty ze środowiska filmowego i literackiego, stwarzały klimat do wymiany idei. Początkowo autonomia zespołów produkcyjnych była w większym stopniu postulatem niż rzeczywistością. Zmieniła to dopiero kolejna fala liberalizacji i decentralizacji w 1962 roku.

Zespoły filmowe stanowią największą innowację kina Wyszehradu, jeśli chodzi o kulturę produkcji filmowej. Są instytucją wyróżniającą kinematografię regionu i to z nimi wiąże się jej największe sukcesy.

Kino Wyszehradu szczególnie skupia się na przeszłości, co biorąc pod uwagę swoisty „nadmiar” historii, którą w XX wieku wytwarzał ten region, wydaje się zrozumiałe.

Kino emigracyjne

W żadnym z państw regionu procesy liberalizacji nie przebiegały bez zakłóceń. Po okresach otwarcia często ponownie przykręcano śrubę.

W Czechach wielką nowofalową eksplozję przerywa interwencja wojsk Układu Warszawskiego. W tym samym czasie wskutek wydarzeń marca 1968 roku w Polsce władza rozwiązuje zespoły filmowe i powołuje nowe, kontrolowane przez osoby uważane za politycznie lojalne. Kolejna fala liberalizacji przychodzi na początku lat siedemdziesiątych, gdy nowa ekipa Gierka, dążąc do zapewnienia sobie poparcia elit kulturalnych, zwraca zespołom dawną względną autonomię. Czesi mają mniej szczęścia: ich kino podnosi się z szoku roku 1968 znacznie dłużej.

Wszystkie te zmiany zmuszają część reżyserów i reżyselek do emigracji. Z Polski w latach sześćdziesiątych wyjeżdżają Roman Polański i Jerzy Skolimowski, zostając w dużej mierze „wypchnięci” przez władze, niemające pomysłu, co zrobić z wiecznie sprawiającymi kłopoty twórcami. W latach siedemdziesiątych – po bezprecedensowym zatrzymaniu jednego filmu (*Diabła*) i wstrzymaniu produkcji drugiego (*Na srebrnym globie*) – podobny los spotyka Andrzeja Żuławskiego. W latach osiemdziesiątych poza Polską kręcą Andrzej Wajda (zrealizowany we Francji *Danton*) i Agnieszka Holland; po stłumieniu Praskiej Wiosny Czechosłowację opuszczają z kolei Miłoś Forman i Ivan Passer.

W efekcie część kina Wyszehradu jest kinem emigracyjnym. Oczywiście, reżyserzy migrowali ze swoją twórczością od zarania kinematografii. Ośrodki takie jak Hollywood zawsze skutecznie ściągały talenty z całego świata. Specyfika kina emigracyjnego naszego regionu polega jednak na tym, że twórcy tworzący za granicą w mniej lub bardziej bezpośredni sposób odnosili się do politycznej sytuacji w krajach pochodzenia.

Doświadczenia biograficzne reżysera – dorastanie w stalinowskiej rzeczywistości, próba budowy „socjalizmu z ludzką twarzą” i jego klęska w wyniku interwencji wojsk „bratnich” demokracji ludowych – nadają dodatkowe konteksty amerykańskim filmom Formana z lat siedemdziesiątych. Wśród nich są takie obrazy jak *Odłot* czy zwłaszcza *Lot nad kukłowym gniazdem* z jego anarchiczną, antyautorytarną, ale i pozbawioną złudzeń wymową.

Związki kręconych na Zachodzie filmów z sytuacją w danym kraju jeszcze bardziej widoczne są w przypadku dzieł polskich filmowców. W *Fusze* (1982) Jeremy Irons wciela się w szefa pracującej nielegalnie w Anglii polskiej ekipy remontowej, który ukrywa przed swoimi nieznanymi angielskiego kolegami wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. W kontekście polskich wydarzeń grudnia 1981 roku interpretowano także osadzone w podzielonym murem Berlinie *Opętanie* (1981) Żuławskiego (choć film miał premierę pół roku przed wprowadzeniem stanu wojennego). Agnieszka Holland nakręciła z kolei we Francji *Zabić księdza* (1988), anglojęzyczny film o zabójstwie księdza Popiełuszki.

Historia i prawda

Czy kino Wyszehradu ma jakiś wspólny dla całego regionu temat? W okresie demokracji ludowych nasuwają się przede wszystkim dwa. Po pierwsze: historia. Kino Wyszehradu jest na niej szczególnie skupione, co biorąc pod uwagę swoisty „nadmiar” historii, którą w XX wieku wytwarzał ten region, wydaje się zrozumiałe.

Tematyka historyczna jest najbardziej eksponowana w kinach Polski i Węgier: zarówno Szkoła Polska, jak i kino węgierskie lat sześćdziesiątych są pełne historycznych rozliczeń. W obu źródłem tragizmu jest los jednostki wrzuconej w środek większych od niej dziejowych procesów, bezlitosnych wobec dążeń jednostki do szczęścia. Polscy twórcy biorą na warsztat przede wszystkim wydarzenia związane z drugą wojną światową: kampanię wrześniową (*Lotna Wajdy*), powstanie warszawskie (*Eroica*

Munka) czy powojnie z jego konfliktami (*Nikt nie woła* Kutza). Węgierscy twórcy pochyłają się z kolei nad takimi tematami jak węgierska rewolucja komunistyczna 1918 roku i następujący po niej biały terror (*Cisza i krzyk* Jancsó), lata stalinizmu czy węgierska wojna ludów – tematem tabu pozostaje jedynie rewolucja 1956 roku.

Zarówno węgierscy, jak i polscy autorzy filmowi polemizują z heroiczną wizją historii, z modelem romantycznego zaangażowania w narodową – czy jakkolwiek inną – sprawę. Najdalej proces ten zachodzi w *Gwiazdach na czapkach* (1967) Jancsó. Nakręcony z okazji pięćdziesiątej rocznicy rewolucji październikowej film reżyser zmienia w pacyfistyczny manifest, odzierający zbrojną rewolucyjną walkę z jakiegokolwiek romantycznej wzniosłości; zamiast tego eksponuje całe jej bezcelowe, głupie okrucieństwo.

Antyheroiczne i rozliczeniowe jest także podejmujące tematykę historyczną kino Czechosłowacji lat sześćdziesiątych. *Sklep przy głównej ulicy* Jána Kadara i Elmara Klosa pokazuje antysemickie praktyki faszystowskiego państwa słowackiego, obojętność, konformizm i interesowną podłość Słowaków będących widzami lub sprawcami prześladowań żydowskich sąsiadów.

Drugim tematem, który łączy kino Wyszehradu, jest problem prawdy. Szczególnie silnie eksponuje go czechosłowacka nowa fala. Jej twórcy szukają filmowych środków, które byłyby w stanie uchwycić życie takie, jakim jest, bez przekłamań charakteryzujących twórczość poprzedniej epoki. Pokazują bohaterów uwikłanych w szereg kłamstw wobec siebie samych i swoich bliskich. Ten sam problem podejmuje polskie kino lat siedemdziesiątych, przede wszystkim kino moralnego niepokoju. W centrum stawia ono bohatera, który próbuje żyć w prawdzie w głęboko zakłamanym, konformistycznym ustroju i przekonuje się, jaką przychodzi za to płacić cenę.

Ku nadrzeczywistości

Czy kino Wyszehradu ma jakąś jedną wspólną dominantę estetyczną? Na pierwszy rzut oka trudno ją dostrzec. Z europejskich nowych fal twórcy czechosłowaccy i węgierscy zaczerpnęli zupełnie inne elementy: Czesi i Słowacy mały realizm i dokumentalną obserwację, Węgrzy z kolei filmowy ascetyzm, dedramatyzację i estetykę opartą na kontestowaniu ła-

Na pierwszy rzut oka trudno dostrzec jedną wspólną dominantę estetyczną kina wyszehradzkiego.

tych filmowych przyjemności. Szkoła Polska jest fenomenem jeszcze przednowofalowym, zapowiadającym przemiany kina następnej dekady, ale wyrastającym z najlepszych wzorców powojennego kina klasycznego.

Wspólnoty estetycznej kina Wyszehradu szukałbym gdzie indziej: w jego skłonności do surrealistycznej poetyki, z jej oniryzmem, wizjami na granicy koszmaru sennego, nonsensownym humorem, zamiłowaniem do

**Większość argumentów
na rzecz istnienia spójnego
kina Wyszehradu odnosi się
do przykładów z lat
sześćdziesiątych, ewentualnie
siedemdziesiątych XX wieku.**

gry elementami niskiej, a nawet podrzędnej kultury i transgresji. Kino PRL przeszywają surrealne prądy: od ułana uderzającego szablą w lufę niemieckiego czołgu w *Lotnej* przez oniryczne labirynty budowane przez Hasa w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* czy *Sanatorium pod klepsydą* po koszmary Andrzeja Żuławskiego i Piotra Szulкина. U tych ostatnich surrealizm pożeniony z oryginalnie

traktowanymi gatunkami filmowymi (kinem grozy, fantastyką naukową) pomaga rozprawić się z polską historią i opresyjną współczesnością.

Także w czeskiej i słowackiej kinematografii tradycja surrealistyczna stanowi istotny nurt, kontrastujący z głównym, realistycznym prądem tamtejszej nowej fali lat sześćdziesiątych. W *Palaczu zwłok* (1969) Jurej Herz opowiada o uwiedzeniu faszyzmem w formie czarnej, surrealistycznej komedii o pracowniku krematorium, który zmienia się w seryjnego mordercę. W *Przypadku dla początkującego kata* (1970) Pavel Juráček łączy luźną interpretację trzeciej książki *Podróży Guliwera* Swifta, inspiracje Kafką i Lewisem Carrolllem, by zabrać widzów w oniryczną podróż, będącą też wyraźną polityczną parabolą. Z kolei Jaromil Jireš w *Walerii i tygodniu cudów* (1970) tworzy nasycony erotyzmem świat pół-baśni, pół-horroru, korespondujący z poszukiwaniami estetycznymi Hasa i Waleriana Borowczyka.

Surrealistyczna tendencja trwa w kinie Czech także po komunizmie. Można ją odnaleźć w takich absurdalnych komediach jak *Akumulator 1* (1994) Jana Svěráka czy *Guzikowcy* (1997) Petra Zelenki. Kino słowackie lat dziewięćdziesiątych istnieje na światowej mapie festiwalowej głównie za sprawą surrealnych baśniowych przypowieści Martina Šulíka. Groteskową surrealistyczną metaforą trzeba też nazwać węgierską *Taxidermię* (2006) Györgya Pálfiego – historię Węgier XX wieku, opowiedzianą z punktu widzenia starzejącego się mistrza jedzenia na czas, jego ojca-seksoholika i niezdolnego dorównać rodzicielowi syna.

Kwestia przyszłości

Jak można zauważyć, większość argumentów na rzecz istnienia spójnego kina Wyszehradu odnosi się do przykładów z lat sześćdziesiątych, ewentualnie siedemdziesiątych XX wieku. Faktycznie, to wtedy najwyraźniej manifestuje się to, co łączy i wyróżnia Wyszehrad: oryginalna kultura produkcyjna oparta o zespoły filmowe, antyheroiczne rozliczenia z historią, problem prawdy i surrealizm, traktowany często – choć nie wyłącznie – jako język politycznej metafory.

Przemysły filmowe i społeczeństwa Wyszehradu w ciągu ostatnich 30 lat stają wobec podobnych wyzwań: transformacja ekonomiczna i związane z nią tworzenie się nowej stratyfikacji społecznej, prywatyzacja i komercjalizacja systemu produkcji filmowej, integracja z Unią Europejską, wzrost nacjonalizmów i prawicowego populizmu. Żadne z tych wspólnych doświadczeń nie stworzyło jednak wspólnego pod względem tematyki czy estetyki kina.

Trudno na przykład mówić o jakimś znaczącym nurcie „wyszehradzkiego kina społecznego”, pokazującego koszty przemian ustrojowych; albo o wyszehradzkim kinie politycznym, portretującym nowy populizm. Można co najwyżej odnotować, że całe kino regionu podejmuje rozliczenia z historią, często tą, o której w okresie demokracji ludowej nie wolno było mówić. Owszem, czasem udaje się to w ramach koprodukcji gromadzących talenty z różnych państw – jak w przypadku nakręconego w Czechach przez Agnieszkę Holland *Szarlatana* (2020). Niemniej jednak, choć w regionie powstawały wybitne historyczne filmy – węgierski *Syn Szawła*, polska *Ida* – to nie tworzą one wspólnego, europejskiego nurtu.

Przemysły filmowe Wyszehradu wybrały też różne ekonomiczne strategie radzenia sobie w nowej rzeczywistości. Węgry i Czechy postawiły na system zachęt finansowych dla zachodnich producentów. Praga i Budapeszt stały się miejscami, gdzie kręci się szereg amerykańskich, brytyjskich i europejskich obrazów. Lokalny przemysł filmowy dostarcza obsługi technicznej i części personelu. Polska nigdy nie pełniła podobnej roli.

Jednocześnie na Węgrzech otwarcie na zachodnie produkcje łączyło się z centralizacją i politycznym podporządkowaniem tamtejszej kinematografii władzy polityków. W Polsce oparty o PISF system finansowania produkcji (dający całkiem sporą autonomię środowisku w decydowaniu o tym, jak mają być dzielone publiczne pieniądze na kino) zasadniczo nie został zmieniony w ciągu ostatnich lat „rewolucji kulturalnej”.

Czy więc „kino Wyszehradu” jest dziś przeszłością? Można by się skłaniać do odpowiedzi twierdzącej. Wspólnych doświadczeń ostatnich dwóch dekad – od „powrotu do Europy” w 2004 roku po obecną prawicowo-populistyczną rewoltę – jest jednak na tyle sporo, że przed filmowcami otwiera się niejedno pole, na którym kiedyś może wyartykułować się nowe kino regionu. Termin ten może więc mieć jeszcze przyszłość.



Anna Łazar

Czyja sztuka

Restytucja utraconych podczas wojen dzieł sztuki to w Europie Środkowej problem szczególnie ważki. Wpisuje się on jednocześnie w szersze procesy – szacuje się, że od 80% do 90% sprzedawanych na świecie antyków pochodzi z nielegalnego źródła

Anna Łazar – redaktorka „Nowej Europy Wschodniej”, autorka, tłumaczka, kuratorka wystaw sztuki współczesnej. Pracowała w dyplomacji publicznej MSZ jako wicedyrektorka i pełniąca obowiązki dyrektora w Instytutach Polskich w Kijowie i w Sankt-Petersburgu. Członkini sekcji polskiej AICA.

Dzieła sztuki funkcjonują w orbitach współczesnych mód i upodobań. Nawet jeśli z mroków historii prześwieca szczątkowa wiedza o twórcy (częściej niż o twórczyni), konkretnym miejscu powstania, o potrzebach i aspiracjach ówczesnych społeczeństw, to i tak patrzymy na dawne dzieło sztuki przez pryzmat współczesnych pojęć. Byłoby tak też, nawet jeśli na wzór bohaterki książki ukraińskiej pisarki Tani Malarczuk *Zapomnienie* przestalibyśmy wychodzić z domu i czytalibyśmy wyłącznie starą prasę, na przykład z końca wieku XIX, a tam konfrontowalibyśmy się z tekstami ludzi, którzy marzyli o radykalnej przebudowie niesprawiedliwego układu sił. Trudno uwolnić się od kontekstu poszukiwania lepszego świata, a kontekstem naszych rozważań są dziś XX-wieczne ludobójstwa i zbrodnie.

Krwawa sztuka

Rezolucja Parlamentu Europejskiego z 17 stycznia 2019 roku w sprawie transgranicznych roszczeń o zwrot dzieł sztuki i dóbr kultury zagrabionych podczas konfliktów zbrojnych i wojen przytacza dane Interpolu, które mogą szokować. Wynika z nich, że od 80% do 90% sprzedawanych na świecie antyków pochodzi z nielegalnego źródła, a czarny rynek dzieł sztuki staje się równie lukratywny, co sprzedaż narkotyków, broni i towarów podrobionych. Zyski z obrotu dziełami sztuki w szarej strefie są ogromnym zagrożeniem dla światowego porządku nie tylko ze względu na poprzedzające ów handel kradzieże, ale przede wszystkim z powodu niebezpieczeństwa możliwości inwestowania tych zysków na przykład w działalność terrorystyczną.

Rezolucja Parlamentu Europejskiego pokazuje też, że wciąż nie sposób zabiłnić społecznej, moralnej i prawnej rany, którą stanowią II wojna światowa i Holokaust. Czytam poszczególne jej punkty i myślę nad wyborem zdarzeń z naszego europejskiego zbiorowego doświadczenia, który wpłynął na kształt dokumentu. Wśród blisko dwudziestu aktów prawnych, które przywołuje dokument, większość powstała z potrzeby uporządkowania spraw po grabieży, która się właśnie wtedy rozpętała.

Zrabowane – odzyskane

Najważniejszym aktem prawnym, który zrodził się w tej materii tuż po wojnie, była Konwencja Haska z 1954 roku. W poruszającej preambule figuruje przekonanie, że wojny były i będą, a „dziedzictwo kulturalne posiada wielkie znaczenie dla wszystkich narodów świata i należy zapewnić mu ochronę międzynarodową”. Istotne były też reguły waszyngtońskie z 1998 roku. Ponad czterdzieści cztery kraje biorące udział w konferencji waszyngtońskiej zgodziły się na badanie proveniencji obiektów, co do których zachodzi cień podejrzenia, że zostały przymusowo przyjęte lub sprzedane w czasach nazistowskich. Postanowiono, że wyniki badań będą upubliczniane oraz obiecano dołożyć starań co do poszukiwania spadkobierczyń i spadkobierców, tak aby dzieła oddać lub w jakiś sposób za nie zadośćuczynić. Centralny Rejestr Informacji o Zagrabionej Własności Kulturalnej 1933-1945 jest dostępny na stronie Lootedart.com, powstał on właśnie jako efekt konferencji waszyngtońskiej. Znajdują się tam nie tylko dane o rozwiązaniach prawnych i krokach podjętych przez poszczególne państwa, ale też wysokiej klasy scenariusze lekcji, debat i spotkań wokół problematyki grabieży dóbr kultury w czasie wojny. Wojen dawnych i przyszłych.

Warto wspomnieć też poprzedzającą rezolucję Parlamentu Europejskiego deklarację terezińską z 2009 roku o zaspokojeniu potrzeb materialnych osób ocalonych z Holokaustu i prowadzeniu edukacji o jego przyczynach i następstwach. Uchwalono ją w mieście Terezín, którego nazwa mało komu kojarzy się z więzieniem, gdzie umarł na gruźlicę Gawiłło Princip, a raczej z obozem koncentracyjnym, w którym zamordowano sześćdziesiąt tysięcy osób. Claude Lanzmann w roku 2016 roku nakręcił film *Ostatni niesprawiedliwy* o wiedeńskim rabinie Benjaminie Marmelsteinie, którego Adolf Eichmann mianował ostatnim przewodniczącym Żydowskiej Rady Starszych w powstałym w 1941 roku tak zwanym mo-

delowym getcie w Terezynie (Theresienstadt) w okupowanych Czechach. Film ten ma inną dynamikę niż blisko dziesięciogodzinny *Shoah* i jest jedną z węzłowych opowieści o pamięci Holocaustu w Europie Środkowej. Terezińską konferencję siedem lat przed powstaniem filmu zorganizował czeski rząd. Deklarację, która powstała w jej efekcie, podpisało czterdzieści sześć państw, w tym kraje grupy wyszehradzkiej. Polska już w roku 2012 opublikowała trzydziestosześciostronnicowe *Wskazówki do badań proveniencyjnych muzealiów pod kątem ich ewentualnego pochodzenia z własności żydowskiej*.

Ważnym dokumentem jest też Holocaust Expropriated Art Recovery Act (tak zwany HEAR Act), który – chociaż uchwalony w 2016 roku w USA – przykuł uwagę świata muzealnego i był brzemienno w skutki. W Polsce z kolei w roku 2014 odbyła się konferencja „Zrabowane – odzyskane. Dobra kultury – przypadek Polski”. Zorganizowało ją Międzynarodowe Centrum Kultury, a udział w niej wzięła plejada polskich i zagranicznych specjalistek i specjalistów w dziedzinie restytucji. Ich wiedza i ustalenia przyczyniły się do zbudowania międzynarodowych rozwiązań prawnych, w tym obowiązujących dziś w Unii Europejskiej, a dostępny w Internecie zapis tego spotkania pozwala przekonać się, jak niełatwe są rozmowy nawet między krajami, które były ofiarami nazistów i bolszewików.

Repatriowane płótna

To, że do rodzimych zbiorów wracają dzieła sztuki, które można oglądać na przykład w Kordegardzie w cyklu „Utracone/Odzyskane”, jest efektem międzynarodowych uzgodnień. Przyjemnie jest na żywo doświadczać odzyskanych w ostatnich latach obrazów, wśród których są chociażby *Schody pałacowe* Francesco Guardiego, trzy obrazy Aleksandra Gierymskiego, *Diana* Jean-Antoine’a Houdona, *Wnętrze katedry w Mediolanie* Marcina Zaleskiego czy *Murzynki* Anny Bilińskiej (ów obraz prezentowany na aktualnej wystawie monograficznej artystki w Muzeum Narodowym zyskał szeroki kontekst).

Przed Rezolucją Parlamentu Europejskiego odzyskiwanie zagrabionych dzieł sztuki przypomniło materiał na scenariusz filmowy. Na przykład zaginiony w czasie wojny obraz Aleksandra Gierymskiego *Żydówka z pomarańczami* z roku 1881 (oczywiście bez autentycznej atrybucji) został wystawiony za niską kwotę czterech i pół tysiąca euro w domu aukcyjnym w małej miejscowości pod Hamburgiem. Później go jednak zidentyfiko-

**Potoczne rozumienie dzieł sztuki
każe szukać w nich czegoś
lepszego i ważniejszego
niż przedmioty w zwykłe
doświadczanej rzeczywistości.**

wano i stał się on przedmiotem specjalnych rozmów między ministrami kultury Polski i Niemiec. Ostatecznie okazało się, że niemieckiego wła-

ściciela zachęcono do zwrotu uprzednio zarobowanego obrazu znaczącą rekompensatą. Nieznana kwota (negocjacje były utajnione) została wyasygnowana przez spółkę akcyjną PZU SA, a zatem nie ze środków publicznych (jednakowoż w tym czasie 45% akcji posiadał Skarb Państwa). Środowisko ekspertów

z zakresu historii sztuki i muzealnictwa krytykowało porozumienie, nazywając rekompensatę zbójckim okupem.

Również odzyskiwanie dzieł sztuki z Federacji Rosyjskiej ma wiele odsłon, a jedną ze słynnych spraw jest zwrot wilanowskiego obrazu *Apollo i dwie muzy* autorstwa Pompeo Battoniego. Sprawa toczyła się przez blisko pół wieku, by finał w postaci szczęśliwego powrotu płótna do Polski znaleźć w 1996 roku. Pozostający w żelaznych objęciach muzeum w Pawłowsku obraz udało się wymienić na akwarelę pochodzącą z pałacu w Gątczynie.

Staruszek Gurlit

Na przełomie lat 2018 i 2019 w Martin Gropius Bau odbyła się ważna wystawa kuratorowana przez Reina Wolfsa i Agnieszkę Lulińską. Pokazano na niej dzieła sztuki zgromadzone przez Hildebranda Gurlita – marszanda, który jako jedna z czterech osób dostał od nazistów licencję na obracanie „sztuką zdegenerowaną”. Oprócz tego Gurlit dokonywał na terytorium okupowanej Francji tak zwanych zakupów uzupełniających zbiory niemieckich muzeów, budował między innymi kolekcję planowanego muzeum Hitlera, przy okazji tworząc własną. Po wojnie został uniewinniony i przez jakiś czas nawet z sukcesem pracował jako dyrektor Kunstverein w Düsseldorfie.

Wspomnienie o Hildebrandzie ożyło, kiedy w 2011 roku aresztowano jego syna Corneliusa. Jechał pociągiem z Zurychu do Monachium z walizką pieniędzy ze sprzedaży jednego z setek dzieł sztuki, które jego ojciec zgromadził w czasie wojny. Młodszy Hildebrandt wpadł, bo nie płacił podatków. Interesujących szczegółów jest tu o wiele więcej, ale najważniejsze jest to, że sprawa Gurlita stała się kolejnym krokiem do wypracowania w instytucjach wystawienniczych i muzealnych nowego, wyższego standardu badania proveniencji dzieł sztuki. Dzięki niej coraz większym prio-

rytetem staje się również nie tyle utrzymanie własnego stanu posiadania, co zadośćuczynienie ofiarom grabieży. Wystawa w Martin Gropius Bau nie zajmowała się ani aspektami formalnymi, ani urodą zgromadzonych prac; najważniejsza była historia dzieła sztuki jako przechodzącego z rąk do rąk przedmiotu. Dzięki szczegółowemu sprawozdaniu o wędrówkach dzieł sztuki bardzo wiele można się było dowiedzieć o faktycznie funkcjonujących międzyludzkich układach i praktykowanych wartościach, które dalekie są od tych deklarowanych oraz zawartych w dokumentach prawnych. Oczywiście sprawa marszanda nazistów to przypadek skrajny.

Kraje Europy Środkowej utraciły bardzo wiele w wyniku nazistowskich rabunków. Raport NIK z 2017 roku wskazuje, że Polska straciła podczas okupacji około pięćset szesnaście tysięcy dzieł sztuki. Wśród strat wojennych są prace wielkich mistrzów, między innymi: Rafaela Santiego, Agostino Carracciego, Pietera Bruegla, Antona van Dycka, Jana Matejki, Jacka Malczewskiego, Wojciecha Kossaka czy Stanisława Wyspiańskiego.

Jednocześnie w państwowych kolekcjach naszego kraju prawdopodobnie znajdują się prace, których nie powinno tam być. Można było o tym przeczytać w niesławnym artykule w „The New York Times”, dotyczącym dzieł sztuki z Muzeum Narodowego w Gdańsku. Zgrabiono je w czasie wojny w Holandii i przyjęto do zbiorów, kiedy instytucja podlegała nazistowskiej administracji. W podobnych okolicznościach w 1942 roku Muzeum Narodowe w Poznaniu dokonało zakupów w Galerii Gurlita.

Nie warto jednak zbyt mocno się oburzać. Komunikat MKiDN z 2020 roku informuje bowiem, że polskie muzea „nie są następcami prawnymi muzeów niemieckich działających na ziemiach, które po II wojnie światowej zostały włączone w granice Rzeczypospolitej. Nie można jednocześnie wykluczyć, że mienie o niewyjaśnionej proveniencji mogło trafić tuż po zakończeniu działań wojennych również do muzeów polskich, które starały się je zabezpieczyć przede wszystkim przed grabieżą i zniszczeniem. Muzea włączały to mienie do swych inwentarzy na mocy powojennych przepisów prawa, które nakładały na nie taki obowiązek”¹.

¹ *Restytucja dóbr kultury* – komunikat MKiDN – Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, <https://www.gov.pl/web/kultura/sport/restytucja-dobr-kultury--komunikat-mkidn>.

No cóż, muzea następcami prawnymi nie są, otrzymały jednak po owych niemieckich muzeach materialny spadek. Biorąc pod uwagę dobre praktyki dotyczące zwrotu zidentyfikowanych prac, których nasz kraj jest beneficjentem, wydaje mi się, iż ten zwrot wkrótce nastąpi.

Dekolonizacja bez kolonii.

Kwestia grabieży wojennych i nielegalny obrót dziełami sztuki to temat, który posiada już jednoznaczne drogowskazy prawne i etyczne. Ważnym jego tematem jest debata dekolonizacyjna, którą od dawna prowadzi mu-

Szacuje się, że od 90% do 95% sztuki afrykańskiej znajduje się poza Afryką.

zea na całym świecie. Przyglądają się one dziełom sztuki nie tylko pod kątem ich losów podczas europejskich wojen. Przykładowo słynny raport „Sarr-Savoy” przygotowany przez historyczkę sztuki i ekonomistę na

zlecenie Emmanuela Macrona postuluje natychmiastowe oddanie przez Francję wszystkich afrykańskich prac, większość z nich trafiła bowiem do czołowych francuskich instytucji w okresie kolonizacji. Szacuje się, że od 90% do 95% sztuki afrykańskiej znajduje się poza Afryką.

W krajach grupy wyszehradzkiej również stoimy przed koniecznością skonfrontowania się z wnioskami płynącymi z debat dekolonizacyjnych. To bardzo trudne, gdyż okres kolonizacji różnił się od okupacji nazistowskiej, a przemoc hitlerizmu ma już pewną konsensualną siatkę pojęć moralnych i prawnych.

Sztuka dawna jest kapsułą czasu, skarbnicą pamięci ludzkości, skondensowaną wiedzą o kulturze. Jednocześnie szkoda mi pamięci, która nie trafiła do tej kapsuły; tej, która miała znacznie mniejsze szanse na przetrwanie i stanie się częścią opowieści o tym, czym jest kultura i historia.

Czas mija i jako ludzie – Europejki i Europejczycy czy obywatelki i obywatele państw wyszehradzkich – mierzymy się z wyzwaniem redefiniowania historii. Czarno-białe scenariusze nie opowiadają nam prawdy ani o nas, ani o przeszłości, chociaż są oczywiście wyjątki. Kiedy myślę o odzyskiwanych działach sztuki, cieszę się nie tylko z faktu, że wracają one do rodzimych kolekcji muzealnych, do rodzimych konserwatorek i konserwatorów, historyczek i historyków sztuki oraz publiczności lokalnej i osób z zagranicy, które nas odwiedzają. Cieszę się również z tego, że kiedy zostaną już odzyskane, postawi się im znacznie więcej pytań niż dotychczas.

Wyobraźmy sobie bowiem, że dzieło sztuki zagrabione przez nazistów odnalazło prawowitą dziedziczkę, ale powstało w koloniach lub zostało kupione z tytułu zysków z niewolniczej pracy, handlu kością słoniową lub innej budzącej wątpliwość etyczną akumulacji kapitału. Albo nawet, że zostało kupione z zysków możliwych dzięki głodowym warunkom panującym w środkowoeuropejskich wsiach. Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku otwiera swoją nową ekspozycję cukiernicą ze strusiego jaja, opatrzoną etykietką z potępieniem kolonialnego układu. Życzyłabym sobie jednak pogłębionej refleksji – może biorąc pod uwagę historię województwa mazowieckiego, powinniśmy zaprezentować solniczkę w skorupce kurzego jaja?

Dziedzictwo ubogich

Państwa grupy wyszehradzkiej spotykają się na międzynarodowych konferencjach, uważnie obserwują swoje rozwiązania i doświadczenia. Wojna była jednak szczególnie okrutna na tych terenach, okupanci przenosili swoje zdobycze z miejsca na miejsce. Jako państwa mamy też roszczenia wobec siebie, co zostało podkreślone między innymi podczas wzmiankowanej konferencji „Zrabowane – odzyskane. Dobra kultury – przypadek Polski”.

Jako że istotnym elementem prac Grupy Wyszehradzkiej są badania nad dziedzictwem kulturowym i tożsamością regionu, warto byłoby zastanowić się nad nieujętych w ramy prawne dziedzictwem kulturowym ludzi ubogich – w naszym regionie to oni stanowili większość. Bardzo jestem ciekawa, jak prawo i dzisiejsza etyka poradzą sobie z tą „na nowo” kreśloną problematyką, pisząc zaś o kreśleniu jej „na nowo”, mam na myśli konieczność ułożenia się w naszym regionie z doświadczeniem komunizmu, za czasów którego temat niesprawiedliwości społecznej został retorycznie wyjąłowany.

To, że we własnym interesie jako społeczeństwa powinniśmy być bardziej egalitarni niż elitarni, coraz wyraźniej rysuje się we współczesnych badaniach, wystawach, tekstach o sztuce i prowadzonych debatach, które odzwierciedlają pewną globalną wrażliwość i wiedzę. Wszystko to wynika z analizy przyszłości, konieczności wyobrażenia sobie dnia jutrzejszego oraz jest efektem myślenia coraz bardziej zróżnicowanych, pochodzących z różnych zakątków świata ludzi. Sądzę, że jedynie otwartość pozwoli naprawdę ocalić nasze dzieła sztuki dla świata.



Jak rozumiem gre

Michał Okoński

Jest coś perwersyjnego w tym, że dziejów piłki Europy Środkowej i Wschodniej przyszło mi uczyć się na Zachodzie. Nie od razu ją doceniłem

Michał Okoński – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”. Stały współpracownik magazynu „Kopalnia”. Autor książek *Futbol jest okrutny* i *Światło bramki*.

Serhijowi Żadanowi

Reszka śmiał się przez telefon, że Żadan jest kibolem, tak samo jak ja, i że koniecznie musi nas sobie przedstawić. „Tylko kiedy to nastąpi?” – myślałem sobie, gdy to mówił: ja siedziałem w redakcji w Krakowie, Reszkę wysłaliśmy na zajmowany właśnie przez rosyjskie wojska Krym, a pobity Żadan leżał w szpitalu w Charkowie. Głowa rozbita w dwóch miejscach, pęknięty łuk brwiowy, wstrząśnienie mózgu i podejrzenie złamania nosa. Za co? Nie za futbol bynajmniej, choć – jak wiadomo – takie przypadki również się zdarzają. Za politykę.

Serhij Żadan, rocznik 1974, ukraiński pisarz, którego już dziś umieszczam wśród autorów najlepszych znanych mi tekstów o piłce nożnej (jak sam zauważył w *Dryblując przez granicę*, „pisanie o życiu wypełnionym futbolem czy nim niewypełnionym to prerogatywa pisarzy, a nie komentatorów sportowych”), był wtedy jednym z przywódców Majdanu w Charkowie. W Charkowie, czyli na wschodniej Ukrainie. Tej bliższej Rosji – dopowiem, ryzykując pewnie jego niezadowolenie, bo jeszcze przed masakrą na Majdanie kijowskim mówił „Newsweekowi”, że stereotypowy podział na wschód i zachód Ukrainy jest nieaktualny: „Mityczna linia Dniepru nie jest już rubieżą wolnej i zniewolonej Ukrainy. Zniewolony jest cały kraj. I zbuntowany również”. Dwudziestego szóstego lutego 2014 roku w Charkowie odbył się miting przeciwników nowych władz Ukrainy. Niektórzy

mieli wstążki świętego Jerzego – symbol rosyjskich sił zbrojnych. Do zebranych przemówił mer miasta, znany z sympatii do obalonego dopiero co prezydenta Janukowycza. Później prorosyjskie bojówki wtargnęły do ratusza, gdzie zabarykadowali się uczestnicy Majdanu. Wśród tych ostatnich był właśnie Serhij Żadan. Jak wielu innych, został ciężko pobity.

Czarne złoto nadziei

Pamiętam, że za pierwszym razem czytałem *Czarne złoto nadziei* (esej Żadana o Szachtarze Donieck opublikowany w książce *Dryblując przez granicę*) jako jeszcze jedno, jakże mi bliskie świadectwo kibicowskiej obsesji. Później jednak zacząłem wyławiać wszystkie zdania o Ukrainie. Na przykład opis uniesień, kiedy jej reprezentacja debiutuje na mundialu w Niemczech w 2006 roku, cały kraj zgodnie wychodzi na ulicę cieszyć się futbolem, a dzięki niemu także – po raz pierwszy od Pomarańczowej Rewolucji – cieszy się jednością i porozumieniem. „Okazało się, że podobne wybuchy patriotyzmu i wzajemnego zrozumienia może zapewnić nam tylko piłka nożna” – zauważał w *Dryblując przez granicę* Żadan. Książka ta powstawała dla Wydawnictwa Czarne na kilka miesięcy przed Euro 2012. „Ukraińców łączą wyłącznie stadiony – pisał wówczas autor *Czarnego złota nadziei*. – Na stadionach wygwizdują prezydentów i śpiewają hymn narodowy, na stadionach nie zważają na język komunikacji i regionalne interesy, na stadionach wszyscy znów starają się być z reprezentacją swego kraju, razem ją krytykując po nieudanych meczach i też razem ją wspierając. A co najważniejsze – kraj znów żyje futbolem, niezależnie od polityków i oligarchów, niezależnie od tego, z czyjej kieszeni płyną środki na »euroobiekty« (stadiony, hotele i lotniska) w ukraińskich miastach, nie zważając na związek, dyrekcje klubów czy oświadczenia unijnych decydentów. Futbol w jakiś sposób znalazł się ponad tym wszystkim, futbol wciąż zastępuje ideę narodową, futbol czyni z ukraińskich nastolatków obywateli i podkreśla marazm ojczystych biurokratów”. Kilkanaście miesięcy po turnieju to pokolenie nastolatków wyszło na ulice ukraińskich miast z przyczyn pozafutbolowych. Czy wyszło także dlatego, że przeżyło wówczas tamte uniesienia? Że zatęskniło za Europą, która przez chwilę tu gościła? Szykując się na mistrzostwa w 2012 roku, Żadan pisał o rzeczywistości „sympatyczniejszej niż rzeczywistość »oficjalna«, czyli codzienne życie kraju”. Chciałoby się doczekać czasów, w których porozumienie

na Ukrainie, podobnie jak w Polsce zresztą, będzie można znaleźć także poza stadionami.

„Kibic niekoniecznie powinien być aktywistą społecznym czy analitykiem politycznym”, czytamy w *Dryblując przez granicę*. Problem w tym, że „o polityce i tak przychodzi jednak mówić, nawet kiedy chodzi o piłkę nożną”. Sportowe sukcesy opisywanego w książce Szachtara wiążą się z rosnącymi wpływami donieckiej elity politycznej, finansowanej przez oligarchę Rinata Achmetowa. „W tym samym czasie, gdy Szachtar wdzierał się na piłkarski Olimp, na Olimp polityczny wdzierała się Partia Regionów, która w świadomości większości Ukraińców kojarzy się właśnie z Donbasem. Działania Achmetowa

**Dopiero dzięki zimnemu
blaskowi szpitalnej lampy
uświadomiłem sobie,
że nigdy nie zdarzyło mi się
zwrócić baczniejszej uwagi
na drużyny z byłego ZSRR
i tak zwanych bratnich krajów.**

związane z Szachtarem są tak ściśle splecione z polityką, że nie mogło się to nie odbić na stosunku wielu kibiców do samego klubu”.

Kłopot ten nie jest oczywiście w świecie piłki nowy: czym w końcu różni się budowa potęgi Szachtara przez Achmetowa od budowy potęgi Chelsea przez Romana Abramowicza? Dlaczego mielibyśmy oba przypadki traktować inaczej? Czy fakt, że jeden ma miejsce w postkomunistycznym kraju, drugi zaś na Zachodzie, za którym tak przez lata tęskniliśmy, jest wystarczającym wytłumaczeniem podwójnych standardów, jakie zdajemy się do nich przykladać?

Nie można zapomnieć

Myślę przy tej okazji o dwóch kwestiach.

Kwestia pierwsza: klub piłkarski nie ma oblicza właściciela, który nagle się zjawia i równie szybko może zniknąć (skądinąd Achmetow trwa, choć po agresji rosyjskiej sytuacja Szachtara zmieniła się radykalnie; klub nie rozgrywa już meczów w Doniecku, jego tymczasową siedzibą był najpierw Lwów, teraz jest nią Kijów). Klub nie ma też oblicza trenera, który pójdzie sobie jeszcze szybciej niż właściciel, albo piłkarzy, którzy zmieniają się nieraz częściej niż trenerzy. To my, kibice, tworzymy nasze kluby. To ja jestem moim klubem. To Żadan jest swoim.

Oczywiście nie tylko on. W wielu krajach naszej części Europy pionierami i nauczycielami futbolu byli Brytyjczycy. Początki piłki w Zagłębiu Donieckim przypadają na pierwsze lata XX wieku, kiedy do miejscowych

hut, tworzonych przez przedsiębiorcę Johna Hughesa, sprowadzano pracowników z Walii (od nazwiska Walijszyka Donieck do 1924 roku nazywał się Juzowką). Oni też są klubem. Piękne wyliczenie, które stanowi kluczowy fragment eseju Żadana, wypada przytoczyć w całości: „Siedzę i wymieniam w myśli wszystkich tych walijskich robotników, którzy kopali na pustkowiu przedpotopową piłkę, wszystkich tych wygnańców i przesiedleńców, którzy utknęli w tutejszych przedsiębiorstwach, działacze sportowych i komsomolców, aktywistów i stachanowców, wędrownych trenerów i zaciętych amatorów, którzy rozwijali, jak mogli, futbol w tym spalonym słońcem regionie. Liczę wszystkich górników na hałdach i kobiety na trybunach, wszystkie gwiazdy i niezdary na boisku, wszystkich bojowników i dublerów, wszystkich Brazylijczyków i Tatarów, wszystkich »krzywych« i »żuli«, wszystkich chłopaków, którzy zaczarowani patrzą na zielone murawy, marząc, że dorosną i zastąpią tych cieniasów. Wyliczam wszystkich deputowanych i pracowników biur, wszystkich bezrobotnych i pijaków, wszystkich niepewnych i przekonanych, wszystkich, którzy znajdują czas, by przyjść na trybuny i kibicować swoim. Wszyscy tutaj jesteśmy inni i każdy rozumie grę po swojemu, rozumie życie po swojemu i ma własne przekonania o śmierci. I nie można o nikim zapomnieć i nikogo przeoczyć”.

Kwestia druga: mój i, jak podejrzewam, nie tylko mój stosunek do tego, co związane z krajami byłego obozu. Dopiero dzięki zimnemu blaskowi szpitalnej lampy, która gdzieś tam pewnie oświetlała łóżko Serhija Żadana, uświadomiłem sobie, że maniakalnie interesując się futbolem, oglądając mecze w zasadzie bez przerwy, a w nielicznych wolnych chwilach czytając książki o piłce nożnej, nigdy nie zdarzyło mi się zwrócić baczniejszej uwagi na drużyny z byłego ZSRR i tak zwanych bratnich krajów. Od dziejów wschodnio- i środkowoeuropejskiego futbolu odwracałem się tak samo jak od ideologii, którą na kilkadziesiąt lat narzucono mieszkańcom krajów między Łabą a Władywostokiem. Mimo że – co Żadan świetnie pokazuje, a co można przeanalizować także dzięki *Futbolowi w cieniu Holokaustu* Simona Kupera – piłka nożna zawsze potrafiła oderwać się od ideologii.

Wygląda na to, że jeszcze w PRL-u, wybierając do kibicowania zachodnią drużynę (czy nie wobec niezgody na komunistyczny syf właśnie?), amputowałem sobie otwartość na świat w gruncie rzeczy bliźniaczo podobny do mojego. Jakbym się bał banalnego w gruncie rzeczy pytania: czym

mianowicie różniła się „komunistyczna” piłka z Polski od tej z Ukrainy? W czym nasze Górniki miałyby być lepsze od ich Szachtarów?

Wszystko stracone

Jakaż była moja konfuzja, gdy czytając *Odwróconą piramidę*, monumentalną historię taktyki piłkarskiej pióra Jonathana Wilsona, co i rusz natrafiałem na nazwiska Wiktora Masłowa i Walerego Łobanowskiego. „W piłce nożnej najważniejsze jest to, czym zawodnik zajmuje się, gdy NIE JEST przy piłce” – zdanie Łobanowskiego pozostaje od tamtej pory jednym z moich ulubionych. Czy dlatego miałem taki kłopot z przyznaniem jego autorstwa szkoleniowcowi z Ukrainy, że jako świeżo upieczony Europejczyk z Zachodu nie chciałem być kojarzony z tym wszystkim, co wschodnioeuropejskie?

„Futbol jest fatamorganą. Idziesz i idziesz do postawionego celu, a kiedy go osiągasz, to następnego dnia okazuje się, że tylko ci się zdawało, że go osiągnąłeś. Bo znów wszystko straciłeś. W piłce nożnej nieuniknione jest nadejście jutra, kiedy wszystko tracisz” – to słowa Jurija Andruchowycza z eseju *Gra z liczbami losowymi*, które przytoczyłem w książce *Futbol jest okrutny*. Stanowią one dla mnie jeden z kluczy do rozumienia piłki nożnej (patrzcie, co dzieje się z Manchesterem United po odejściu Fergusona, z Barceloną po tym, jak pożegnał się z nią Luis Enrique, z Arsenalem po Wengerze, Tottenhamem po Pochettino) i zostały napisane właśnie o Walerym Łobanowskim. „Żadnej drużyny nie doprowadził nawet do ćwierćfinału mistrzostw świata. Jeśli w sposób wielce naciągany przyrównywać do ćwierćfinału drugi etap grupowy w Hiszpanii w 1982, to już na pewno żadnej reprezentacji nie doprowadził do półfinału. Do tego w Hiszpanii był tylko jednym z trenerów, nie głównym selekcjonerem. Dynamo nigdy nie awansowało do finału Pucharu (a potem Ligi) Mistrzów. Poza tym nigdy nie wygrało ekstraklasy ZSRR więcej niż dwa razy z rzędu”.

I dalej jeszcze, jakby odpowiadając na moje niewypowiedziane głośno wątpliwości, pisze Andruchowycz: „Z jednej strony, był elementarną ludzką częścią tego Imperium. W nim realizował się zawodowo – z całą mocą, z jaką patriota może realizować się dla kraju. Żył w zgodzie z tym krajem i służył mu całym sobą. Z drugiej jednak strony, dla Imperium, jego stolicy, niejedną raz wspomianej tu Moskwy, nigdy nie był całkiem swój. Wybierała go i popierała tylko w momentach niezaprzeczalnego, nadzwyczajnego powodzenia. Kiedy tylko doznawał porażki – rzucała się na niego w absolutnie bezlitosny i wyraźnie złośliwy sposób”.

Omyłki i błędy

Walery Łobanowski jako jeszcze jeden tragiczny przypadek wschodnio-europejskiego losu? „Czasami na myśl o nim robi się smutno aż do bólu” – wyznaje Andruchowycz, a ja przypominam sobie mnóstwo takich przypadków z własnego podwórka. Po czym nieoczekiwanie wraca do mnie również historia Wiktora Masłowa, trenera Dynama Kijów, którego w ha-

niebnych okolicznościach zwolnił z posady jakiś komunistyczny kacyk (Wilson pisze o drużynie prowadzonej przez Masłowa jako prototypie futbolu totalnego: „Ludziom się wydaje, że został wymyślony w Holandii tylko dlatego, że nie mieli okazji obejrzeć Dynama” – wiedzieliście o tym?).

A potem wszystko to rozlewa się już bardzo szerokim strumieniem: z Kijowa płynie do Budapesztu, a później do Pragi. Okrężną drogą, jak widać, przez Londyn i okolice, gdzie umieszczono nie tylko południk zero,

ale gdzie, wedle moich wieloletnich i jakże mylnych przekonań, umieszczono również wzorzec wszelkich miar dotyczących futbolu. Ileż to lat uważałem *Odwróconą piramidę* za najważniejszą książkę dotyczącą piłki nożnej, jaką kiedykolwiek przeczytałem. Wypierałem tym samym fakt, że pierwsze zdania na temat historii tego sportu i podstaw futbolowej taktyki przeczytałem u Węgra, niejakiego Arpada Csanadiego, w podręczniku opublikowanym w Warszawie w 1957 roku. Wydawnictwo „Sport i Turystyka” opatrzyło go zdumiewającą z dzisiejszej perspektywy prośbą do czytelników o nadsyłanie uwag dotyczących treści i języka ich książek: wyglądu, okładek, zdjęć, rysunków, map, czcionki, a także popełnionych błędów. Nie mówię już o tym, że najpiękniej o sporcie pisał Czech Ota Pavel (autor między innymi *Bajki o Rašce i innych reportaży sportowych*), nie żaden Anglik, Francuz czy Niemiec. A kiedy Niemcy chcieli, by jakiś porządny literat napisał im książkę na temat futbolu przy okazji mundialu w 2006 roku, zwrócili się do Węgra Pétera Esterházyego i tak powstała *Podróż w głąb pola karnego*.

Tak, jest coś perwersyjnego w tym, że dla mnie – człowieka urodzonego czternaście lat po zdławieniu Powstania Węgierskiego, trzy lata po wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji (z niechlub-

**Próbujemy doprowadzić
nasze kraje do stanu
używalności, zrywając
z komunistycznym
dziedzictwem, a zarazem
ocalając to, co jednak nie było or-
ganicznie z nim związane
– na przykład piękne
historie piłkarskie.**

nym udziałem Polaków) i rok po wydarzeniach na polskim Wybrzeżu, dziesięciolatka w chwili wprowadzenia stanu wojennego i osiemnastolatka w chwili upadku komunizmu w tej części Europy – odkrycie wielkiej historii piłkarskiej naszego regionu musiało nastąpić dzięki autoryzacji dziennikarza czy historyka z Zachodu. Jest coś perwersyjnego również w tym, że aby docenić węgierską „Złotą Jedenastkę”, musiałem przeczytać sążniste tomy na temat lekcji futbolu, jaką dała Anglikom na Wembley w 1953 roku; że aby docenić sukces Czechosłowaków na mistrzostwach Europy w 1976 roku (miałem wtedy pięć lat, Polacy nie grali, turniej pamiętam jak przez mgłę), musiałem uzmysłowić sobie, że kultowy hiszpańskojęzyczny magazyn piłkarski „Panenka”, arcydzieło sztuki edytorskiej i typograficznej, wziął swoją nazwę od pewnego wąsacza, który wykonał wówczas jedną z najsłynniejszych jedenastek w dziejach futbolu – Czecha Antonína Panenki. Jakkolwiek niemądre i podszyte ideologią wydaje się uprzedzenie, z którego się tu spowiadam, żywiłem je przez długie lata.

Cieszyć się

Jak dobrze, że piszę o tym w czasie przeszłym. Jak dobrze, że kibicując podczas Euro 2020 Polakom, Ukraińcom, Czechom i Słowakom (no, tym ostatnim akurat mniej, w końcu mieliśmy ich w grupie...), czułem się wolny od tego uprzedzenia. Nawet jeśli zdarzało mi się w czasie turnieju myśleć o polityce, miałem poczucie, że wszyscy tutaj jesteśmy przecież ofiarami tego samego mechanizmu. Próbuje doprowadzić nasze kraje do stanu używalności, zrywając z komunistycznym dziedzictwem, a zarazem ocalając to, co jednak nie było organicznie z nim związane – na przykład piękne historie piłkarskie. Próbuje pogodzić się z tym, jak grają nasze drużyny i kompletnie nie umiemy przestać im kibicować – nawet mimo klęsk, w obliczu których nas stawiają i mimo że od czasów Sebesa, Jeżka, Górskiego czy Łobanowskiego zdążyły już wyrosnąć pokolenia piłkarzy. Podnosimy się po porażkach, by z typową dla kibiców dzielnością zacząć od nowa – jak Żadan. „Serhij jest niewysoki, szczupły i wygląda bardzo młodo, by nie powiedzieć: dziecięco – opisywał go Andrzej Stasiuk w „Tygodniku Powszechnym”. – Ale bez trudu sobie wyobrażam, jak staje naprzeciw bezmiennego, zamaskowanego wojska, by bronić swojego Charkowa i reszty swojego kraju”.

„Nie wiem, czy przyjedziecie w przyszłym roku na mecze do Doniecka – pisał przed Euro 2012 do czytelnika z Zachodu. – A jeśli przyjedziecie

– czy zdążycie zobaczyć i poczuć coś poza futbolem. Zresztą, wątpliwe, byście zatrzymali się tu na dłużej, i wątpliwe, byście przejmowali się problemami tego dziwnego miejsca. Najważniejsze, by przejmowali się nimi ci, którzy tu zostaną, którzy tu mieszkają i regularnie chodzą na te stadiony. Bo tak czy inaczej to ich kopalnie i kombinaty, ich historia i przyszłość, ich węgiel – »czarne złoto«, jak go tu nazywają – leżący pod miastami i piłkarskimi murawami, będący ostatnią nadzieją, dla której poświęcają życie i tracą zdrowie. Dlatego kim ja jestem, żeby kogoś czegoś uczyć? To nam wszystkim zdarzyło się żyć w tym czasie i w tym kraju, wszyscy razem uczyniliśmy ten kraj takim, jaki jest dziś, wszyscy razem musimy za niego odpowiadać. Wy przecież i tak nic do tego nie macie, to nasze wewnętrzne sprawy, cieszcie się grą”.

Trudno mi było więc cieszyć się grą po tym, jak został pobity. Z całą pewnością inaczej ją też rozumiałem – i jeśli w końcu Reszka nas sobie przedstawi, zamierzam porządnie się z Żadanem pokłócić. Dlaczego napisał, że należy do pokolenia, które uczyło się mądrości życiowej od Maradony? Na razie jednak chętnie posłuchałbym jeszcze o tym, że w piłkę nożną gra się z głębokiego i niewyczerpalnego poczucia miłości, a także o tym, że miłość do futbolu często polega na miłości do niemożliwego. Czy to jest tak, jak z miłością do swojego regionu i kraju? No powiedz, jak to jest z tą miłością, Serhij?



Iwona Hofman

Lublin – miasto środkowo- europejskie

Miasto środkowoeuropejskie, czyli jakie?
Czym jest Europa Środkowa? Co sprawia, że
ów konstrukt historyczny, polityczny, kulturo-
wy tak silnie oddziałuje na wyobraźnię, uru-
chamiając archetypiczne skojarzenia otwarto-
ści i pomostu? Odpowiedzi na te pytania być
może znajdziemy w Lublinie

Iwona Hofman – dyrektor Instytutu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS, przewodnicząca Komitetu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach PAN, prezes Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się wokół paryskiej „Kultury” i dziennikarstwa jakościowego.

Europa Środkowa leży między Wschodem i Zachodem, czerpiąc z obu i przetwarzając wartości przejścia, prawie jak brama z esejów Władysława Panasza i Stefana Symiotiuka – obiecywała ona w rytuale, ale i rutynie przejścia zamknięcie, odwrót, pożegnanie, otwarcie, przejście i powitanie.

W poszukiwaniu definicji

Czy można – i z jakim rezultatem? – powtórzyć pewne ćwiczenie Andrzeja Stasiuka? Pisarz ów wykreślił krąg wokół Wołowca, centrum swojego świata, doświadczając w ten sposób bycia Europejczykiem Środka – stało się tak, gdyż linia zamknęła wewnątrz część Białorusi, Ukrainy, Rumunii, Węgier, Słowacji, Czech i oczywiście Polski. „Nie ma Niemiec, nie ma Rosji – co przyjmuję z pewnym zdziwieniem, ale też z dyskretną atawistyczną ulgą”¹, jak odnotował w swoim esej. Rozumiem, że poczucie ulgi nie wynikało wprost z potwierdzenia definicji Mitteleuropy, ale z przemyśleń autora, którego Europa Środkowa inspirowała duchowością, historią i krajobrazem.

W ważnej rozmowie „o widoku z okna” Stasiuk mówił o kompleksie prowincji i peryferyjności Europy Środkowej, zgodnie z tezą Jerzego Stempowskiego „tymczasowej i nietrwałej”, kieroszowanej przez „przekłętę sensy historii”, skazujące mieszkańców na „nieustanną rewizję własnej

¹ *Dziennik okrętowy*, w: J. Andruchowicz, A. Stasiuk, *Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową*, Wołowiec 2000, s. 101.

tożsamości”, a przecież stanowiącej kontrpropozycję dla „wydobytych, opisanych na tysiące sposobów Paryżów i Londynów”². Stasiuk podkreślał tak w tej rozmowie, jak i w całej swojej twórczości kontemplacyjność i swojskość Europy Środka – podobnie jak w *Rodzinnej Europie* Czesław Miłosz, wydobywający czas niespieszny i pewność porządku rzeczy, które wyznaczają horyzonty poznania Środkowoeuropejczyka.

Dwaj wybitni poeci – Zbigniew Herbert i Adam Zagajewski – mający szczególne prawa jako lwowianie z pochodzenia, by wypowiadać się o idei Europy Środkowej, zachowali dystans, a nawet ironicznie zripostowali głośny esej Milana Kundery *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*. Herbert odpowiedział nań wierszem *Mitteleuropa*, Zagajewski zaś esejem *Wysoki mur*. Ten ostatni podejmuje polemikę z tezą o wyjątkowości Europy Środkowej, „zakochanej w wolności, w kulturze, w idei Europy”, innej od „azjatyckiej Rosji” i „dobrowolnie zbarbaryzowanej Europy Zachodniej”. Zagajewski uważał, że ideą Europy Środkowej (jako ojczyzny małych narodów rozczarowanych historią i odrzucających ją oraz afirmujących kulturę jako szansę na ocalenie jedności Starego Kontynentu) są marzenia i tęsknoty do bytu istniejącego już tylko w imaginacji (Europy katedr, Vermeera, Szekspira już nie ma, przeszłość jest żywo obecna jako wzór, ideał)³.

Problematyka Europy Środkowej zajmowała również między innymi: Stanisława Vincenza, Konstantego Jeleńskiego, Marię i Józefa Czapskich, Piotra Wandycza, Jana Józefa Lipskiego, Jerzego Pietrkiewicza, Leszka Szarugę, Tymona Terleckiego, Mirona Białoszewskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, a także innych twórców i twórczynie ukorzenionych w wizji Europy domowej i rodzinnej⁴.

Po 1989 roku ukazały się tematyczne numery czasopism: „Res Publica”, „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Przegląd Powszechny”, „Odra”, „Literatura na Świecie”, „Akcent”, „Kresy”, „Fraza”. Biorąc pod uwagę jedno z możliwych objaśnień fenomenu Europy Środkowej jako związku państw, co do zasady, szanujących prawa do odrębności i różnorodności narodów, wielki wkład w urzeczywistnienie idei miała „Kultura” paryska i Jerzy Giedroyc. „Zeszyty Literackie” kształtowały światopoglądy Środ-

² K. Janowska, P. Mucharski, *Rozmowy na nowy wiek 2*, Kraków 2002, s. 205-210.

³ A. Zagajewski, *Solidarność i samotność*, „Zeszyty Literackie”, Warszawa 2002, s. 37-54.

⁴ Zob. *Europejskie wizje polskich pisarzy w XX wieku. Antologia*, wybór i oprac. M. Urbanowski, Kraków 2011.

kowoeuropejczyków, przyjmując za niepisane motto hasło: „Poznać to, co dzieli, aby zrozumieć przeszłość i aspiracje sąsiadów”. W 1990 roku ukazała się książka o wymownym tytule *Pomimo i wbrew. Eseje o Europie Środkowej* Timothy’ego Gartona Asha, zawierająca m.in. artykuł *Czy Europa Środkowa istnieje?*. Został on napisany cztery lata wcześniej, a więc w okresie coraz śmielszych dyskusji ideowych wokół historycznych i kulturowych konotacji terminu w kontekście powszechnie używanego pojęcia „Europa Środkowo-Wschodnia”. W 1984 roku ukazała się inna ważna książka poświęcona tej tematyce – *Antypolityka. Środkowoeuropejskie medytacje* Györgya Konráda. Claudio Magris skomentował ją słowami: „Tak jak dla Kundery, także dla Konráda Europa Środkowa staje się słowem szlachetnym, lecz nieokreślonym i ogólnikowym, iluzorycznym, metapolitycznym *passé-partout* dla każdego politycznego dążenia”⁵.

**Lublin opisywano
jako „adres serdeczny”.**

Ciekawą charakterystykę Europy Środkowej napisał Csaba G. Kiss: jest to „[o]sobna strefa, region, którego granic nie można w każdym punkcie określić dokładnie, ale wiemy, że leży on mniej więcej pomiędzy obszarem języka niemieckiego a obszarem języka rosyjskiego. (...) Jego pozytywną treścią jest negacja dwubiegunowego schematu, negacja skrajności, sprzeciw wobec logiki wyłączości, głoszącej: albo-albo”⁶. Ten węgierski historyk kultury mocno akcentował specyficzne warunki rozwoju państw i społeczeństw Europy Środkowej, w której koegzystowały zapóźnienia feudalne, nowoczesne formy samorządów, tradycje chrześcijaństwa zachodniego i wschodniego, pamięć i mitologia wielkiej historii. István Kovács wyciągał dalej idące wnioski, pisząc, że nieznane w omawianej części kontynentu wykluczenie, de facto dążenie do zrozumienia wspólnoty interesów państw regionu, przyczyniło się do akceptacji różnorodności kulturowej, współcześnie zyskującej wartość symboliczną⁷.

Niepewna definicji kończę sekwencją poświęconą Europie Środkowej, rozumiejąc tyle, że Europę Wschodnią i Środkową łączą podobieństwa do-

⁵ C. Magris, *Dunaj*, Warszawa 1999, s. 265.

⁶ C. G. Kiss, *Tożsamość węgierska a Europa Środkowa*, w: *Na pograniczu narodów i kultur. Polska-Europa-Ameryka*, wybór i oprac. B. Wróblewski i Ł. Janicki, Warszawa 2020, s. 127.

⁷ I. Kovács, *Bilans straconych szans*, tamże, s. 137-139.

świadczeń władzy absolutnej i totalitarnej, które jednak nie złamały społeczności obywatelskiej „narodów politycznych”, jak pisał Jerzy Kłoczowski. Przeciwnie – utrwaliły przekonanie o możliwości pokojowego współistnienia wielu narodów, religii i kultur w centrum niespokojnego świata.

Wschód Zachodu

Jeden z pierwszych przewodników dla zwiedzających miasto i jego okolice, wydany w 1876 roku *Opis Lublina* Władysława Zielińskiego, zaczyna się tak: „Lublin za czasów Mieczysława I. osada zdobna kościołem, który jak tradycja niesie, wzniesiono na miejscu istniejącej tu świątyni jakiegoś słowiańskiego bożyszcza, otoczony był lasami i bagnami. Kto i kiedy to starożytne miasto założył nie wiadomo (...). Bolesław Chrobry w osadzie tej wznosił zamek drewniany i odtąd miejsce to zajęło ważniejsze stanowisko w dziejach krajowych”.

W Polsce piastowskiej Lublin był grodem peryferyjnym i pogranicznym, którego status zmieniał się powoli w państwie Jagiellonów. Choć pierwsze wzmianki o mieście można znaleźć w XII-wiecznej *Kronice* Wincentego Kadłubka, a miasto zostało ulokowane na prawie magdeburskim 15 sierpnia 1317 roku, to jednak dopiero przywileje nadane Lublinowi w pierwszych latach panowania Władysława Jagiełły zapoczątkowały jego rozwój i doprowadziły do tego, że 1474 roku stał się stolicą województwa. Lublin – położony na szlakach łączących Kraków i Wilno, Gdańsk i Lwów – przyciągał przybyszów ze Wschodu i Zachodu. Mimo zwykłych w tamtym okresie najazdów, zniszczeń, pożarów (z czego dwa stały się legendarne: z 1575 i 1719 roku), miasto jarmarków obrastało zamożnymi domami, kościołami różnych wyznań, cmentarzami pełniącymi rolę znaku historii i pamięci indywidualnej. Na 1475 rok datuje się tutaj początek osadnictwa żydowskiego. W 1569 roku miasto zyskało sławę dzięki unii polsko-litewskiej. W 1578 roku rozpoczyna działalność Trybunał Koronny, w 1644 – pierwsza wyższa uczelnia (Studium Generale), mieszcząca się przy klasztorze dominikanów. W XVI wieku Lublin, liczący ponad 10 tysięcy mieszkańców, stał się jednym z najważniejszych miast Rzeczypospolitej Obojga (Wielu) Narodów, czego najbardziej rozpowszechnionym symbolem była gotycka kaplica zamkowa z freskami ruskich artystów-ikonopisów. Zdaniem Kłoczowskiego, kreującego ideę miasta–spadkobiercy dziedzictwa Rzeczypospolitej, freski te „stanowiły niezwykle wymowny symbol rodzącego się świata przyszłej Rzeczypospolitej, w której dojdzie

na wielką skalę – jedyną właściwie w ponadtysiącletniej historii Europy w takich rozmiarach i tak długim czasie – do pokojowego współistnienia w jednym organizmie państwowym dwóch wielkich tradycji chrześcijańskich⁸. Stanie się to ze wszystkimi konsekwencjami, które powodują między innymi odczytanie historii Lublina przez pryzmat wschodniego peryferium zachodniego chrześcijaństwa, myślenie o Lublinie jako mieście otwartym i wolnym czy dostrzeganie potencjału wielkości i różnorodności dla marki nowoczesnego miasta.

Otulone pamięcią

W istocie, w Lublinie trwa symbioza wieków dawnych i współczesności. Jest ona odczuwalna w atmosferze miasta i relacjach ludzi, w wartości narracji związanych z historycznymi punktami topografii, w dążeniu do odkrycia tego, co było: legend, tajemnic, realnego znaku obecności Innych, w nieuchronnym napięciu pomiędzy spowolnieniem czasu a koniecznością sprostania wymogom mobilnego, zglobalizowanego świata. Człowiek w Lublinie na powrót staje się Wędrowcem, co znakomicie wiedział i opisywał Józef Czechowicz. Dzisiaj nowy sens temu odczuciu bycia u siebie, choć w drodze, nadają *Spacery z Czechowiczem*, organizowane od 2002 roku przez Teatr NN w pierwszą lipcową pełnię księżyca.

„Lublin nad łąką przysiadł./ Sam był – i cisza”⁹ – trudno o bardziej imaginacyjny obraz miasta dającego poczucie bezpieczeństwa. Trudno również o bardziej inspirujący trop niż podążanie za Czechowiczowskim Wędrowcem z *Poematu o mieście Lublinie* w poszukiwaniu atrybutów miasta Środka. I dalej pisze Czechowicz: „Dokoła pagórków koła,/ dymiąca czarnoziemiu połać./ Mgły nad sadami czarnymi (...) Jeszcze wiejsko tu. (...) / Klony, brzeziny, kasztany, tuje/ obsiadły wyspę umarłych. (...) / Kamienie, kamienice,/ (...) za Trybunałem (...) / ulicę Grodzką w dół.(...)/ Rynek. Tu dom Acerna, tu kamienica Sobieskich./ A ot i narożnik ze lwami z kamienia. Tu chodziłeś do szkoły. (...) / Same pojęcia: wspomnienie i poezja są sobie bardzo bliskie. (...) Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru,/ (...) Z Archidiakońskiej do wtóru/ samotnych skrzypiec arie. (...) Idziesz, idziesz, jeszcze jedną mijasz bramę,/ pniesz się w górę zaułkiem podzam-

⁸ J. Kłoczowski, *Unia Lubelska. Lublin – miasto Unii*, Lublin 2017, s. 13.

⁹ J. Czechowicz, *Poemat o mieście Lublinie*, Lublin 2006.

cza, stajesz przed niskim łukiem./ (...) Jesteś w zamkowej kaplicy. Kłęk-
nij. Skarbiec to i serce Lublina,/ miasta Jagiellońskiego./ (...) Trzeba zejść
ulicą Zamkową/ w mrok zaułków, potem wynurzyć się z ciemności na
ulicy Szerokiej, (...) A stąd, przez uśpione przemieście (...) w daleki świat”.

**Architektura ma zdolność
do spowalniania, zatrzymywania,
przywracania czasu.**

Wędrówka prowadzi do centrum świata wyobrażonego i rzeczywistego, do serca Lublina, jednoznacznie interpretowanego w kontekście Polski Jagiellonów. Miasto Środkowej Europy osadzone jest w historii jagiellońskiej i emanuje niezwykłością transponowanych z tej historii znaczeń dialogiczności. Czechowicz był poetyckim prekursorem geografii humanistycznej, czyniąc z Lublina „adres serdeczny”. Wędrówka, którą opisał, przebiega trasą tyleż oczywistego spaceru, co wyznacza mapę domyślnego centrum miasta (możliwe, że centrum dla każdego, również Innego). Wiejskie przedmieścia, żydowskie domy na Wieniawie, cmentarz przy ulicy Lipowej (na Lipkach, jeszcze w XIX wieku ekumeniczny), trakt królewski, Brama Krakowska, Rynek Starego Miasta, Brama Grodzka, Zamek, dzielnica żydowska z główną ulicą Szeroką, przedmieścia oddzielone „rzeczułką, której nie słyhać” – to wszystko dobrze oddaje zarys pierwszego miasta, samej idei grodu, bazującego na bogactwie płodnej ziemi, miejsca otoczonego domami żydowskich mieszkańców przedmieść, wypiętrzających się aż do Rynku kamienic i znajdującego kulminację siły w Zamku.

Dwojake funkcjonowanie tych miejsc w *Poemacie* i topografii każe myśleć o przyległościach, znowu – wyobrażanych i istniejących realnie. Wszystkiemu patronuje „blaszany kogucik furgotający na wieży” Trynitar-
skiej i zegar na wieży Bramy Krakowskiej, symbole czasu przemijającego i trwałego. Jak twierdzi Christian Norberg-Schulz w homocentrycznej koncepcji architektury, czas jest istotnym elementem percepcji przestrzeni; dla mnie jest nim dlatego, że umożliwia obcowanie z historią, umacniając wiarę w ciągłość pokoleń i tożsamości doświadczeń ludzkich. Zgadzam się z Bolesławem Stelmachem, że domeną architektury jest „wydobywanie”, „ujawnianie” potencjału miejsc w dawnych i obecnych interakcjach mieszkańców¹⁰. „Architektura ma zdolność do spowalniania, zatrzymy-

¹⁰ B. Stelmach, *Teatr w budowie. Dziennik podróży*, Lublin 2017, ss. 24, 96.

wania, przywracania czasu”¹¹. Zabudowę Lublina, świadczącą o randze miasta (środkowoeuropejskiego) stanowią „miejsca pamięci”, definiowane w związku z badaniami Pierre’a Nory nad tożsamością i pamięcią właśnie. W miastach pogranicza dynamika procesów tożsamościowych wynika ze stałej konieczności weryfikowania ich statusu; miasta Europy Środkowej jakby „otulają” mieszkańców pamięcią, uwrażliwiając na negatywne skutki podziałów i ekspansji i tym różnią się od miast globalnych¹².

Miłe miasto Lublin

O kim i jaką pamięć pielęgnuje Lublin, miasto środkowoeuropejskie? Pamięć unii polsko-litewskiej („Unia Lubelska strzeże polskiej i litewskiej historii/ jak Brama Krakowska – Lubelskiej starówki (...)/ Teraz wszystkie drogi promieniście zbiegają się tutaj/ pod królewską koronę i chabrowy wianek, które okrywają miasto,/koronę i wianek kultury./ Wschód i Zachód, Północ i Południe”)¹³, pamięć przestrzeni wolności religijnej i wolności słowa (kościół, cmentarze i uczelnie różnych wyznań), pamięć żydowskich mieszkańców (stanowiących do wybuchu II wojny światowej około 30% ogółu ludności), pamięć Majdanka, pamięć twórców związanych z miastem (Biernat z Lublina, Jan Kochanowski, Szymon Klonowicz, Ignacy Kraszewski, Bolesław Prus, Józef Czechowicz, Józef Łobodowski, Julia Hartwig, Anna Langfus, Henryk Wieniawski, Andrzej Nikodemowicz), pamięć ludzi nauki, mędrców, myślicieli, towarzystw naukowych (Wincenty Pol, Hieronim Łopaciński, rabin Jakub Icchak Horowicz, Jehuda Meir Szapiro), pamięć autorytetów kościelnych (kardynał Stefan Wyszyński, Jan Paweł II, biskup Józef Życiński), pamięć przedsiębiorczości i społecznej odpowiedzialności (August i Juliusz Vetterowie, Edward i Henryk Krauze, Emil Plage, Teofil Łaskiewicz), pamięć Lipca ‘80.

Sygnały tej pamięci niepostrzeżenie wplotły się w codzienność, stając się przejawami wcielania hasła „prawa do miasta”. Przybrały formy różnych aktywności społecznych i kulturalnych, wspieranych instytucjonalnie, jak na przykład: „Lublin, którego nie ma” Ośrodka Brama Grodzka-Teatr NN, Zaulek Hartwigów, rewitalizacja studzienki przy ulicy Ruskiej, festiwal

¹¹ Tamże, s. 98.

¹² N. Mirzoeff, *Jak zobaczyć świat?*, Kraków 2016, s. 203-208.

¹³ I. Kovács, *Miasta polskie-węgierskim okiem*, tłum. A. Górecka, „Akcent” 2002, nr 4.

ginących zawodów i tradycji rzemiosła, murale i graffiti tworzone jako znaki pamięci lub protestu, idea wspólnot podwórkowych, Most Kultury, Miasto Poezji, koncerty z cyklu „Harmonie Starego Miasta”, biblioteczne „Poranki u Hieronima”, dni ulic, programy w językach narodowych dla studentów obcokrajowców nadawane w Akademickim Radiu Centrum, Jarmark Jagielloński, festiwal „Wschód Kultury – Inne Brzmienia”. Wybór

**Województwo lubelskie
jako jedyne w okresie
międzywojennym nie miało
granicy państwowej!
Czy potrzeba lepszego
dowodu na „środkowość”?**

przykładów jest subiektywny i bardzo dowolny, biorąc pod uwagę bogactwo inicjatyw świadczących o odpowiedzialnym obywatelstwie Lublinian.

Specjalnym argumentem na rzecz tezy o środkowoeuropejskim charakterze miasta jest obecność zagranicznych studentów, oceniających Lublin nie tylko jako ośrodek

badawczy pięciu uniwersytetów, ale przede wszystkim w perspektywie dialogiczności; lepiej – dyskursu opartego na szacunku dla Innych i otwartego na inność.

Ten trop warto powiązać z funkcjonowaniem w Lublinie, w sensie naukowym i w obiegu publicznym, dziedzictwa „Kultury” paryskiej. Jej twórca, Jerzy Giedroyc, został uhonorowany w nazwie platformy widokowej w dominikańskim kompleksie zakonnym, kierującej wzrok zwiedzających ku dawnej Rusi. Koncepcje Giedroycia i publicystów z kręgu „Kultury” w znacznej mierze przyczyniły się do pozycjonowania niepodległej Polski po 1989 roku jako partnera suwerennej Ukrainy, Litwy, Białorusi oraz jako lidera regionu. Obszar Środkowej Europy był przedmiotem wielu analiz politologicznych wyprowadzanych z idei jednoczenia Europy. Był też rozpoznawany i opisywany przez część emigracji w kontekście aspiracji narodowo-wyzwoleńczych zsowietyzowanej Europy.

Obecność Giedroycia w Lublinie jest wielowymiarowa. Gustaw Herling-Grudziński, tak blisko przecież związany z „Kulturą”, mówił: „Miłe miasto Lublin. (...) zamknięty w swojej autonomicznej atmosferze wielokulturowej, rosnący po swojemu, zazdrosny o swój kształt dojrzałego tworu architektonicznego, niechętnie usposobiony do nowoczesnych zmian”¹⁴.

¹⁴ Lublin. Książka do pisania. Wybór tekstów i fotografii, wybór P. Skrzyński, Kraków 2018, s. 78.

Otóż to! Autonomiczna atmosfera wielokulturowa czyni z Lublina także centrum polskości, nowoczesnego patriotyzmu zezwalającego Innym na odnalezienie tu swojej małej ojczyzny. Województwo lubelskie jako jedyne w okresie międzywojennym nie miało granicy państwowej! Czy potrzeba lepszego dowodu ma „środkowość”?

Lublinem zachwycili się m.in. Isaac Bashevis Singer, piszący o „z dawna istniejącej społeczności” żydowskiej, Jarosław Iwaszkiewicz („jedno z najbardziej polskich miast”), Władysław Panas, odkrywca i piewca interpretacyjnego modelu Bramy Grodzkiej jako „przejścia pomiędzy różnymi światami”, Martin Buber, Jakub Głatsztajn, Andrzej Strug, ujęty entuzjazmem i serdecznością mieszkańców witających żołnierzy Józefa Piłsudskiego, Majer Bałaban („Na jarmarkach Lubelskich Wschód i Zachód podawały sobie rękę”), Jacek Woźniakowski czy Franciszka Arszajnowa. Ci i wielu innych pisarzy, mówiąc o Lublinie, obierali różne punkty widzenia, ale wszyscy podkreślali kojącą duchowość miejsca, które przyjmowali za swoje.

Nazwa serii	Europa Środkowa
Redaktorzy serii	Beata Surmacz i Tomasz Stępniewski
Korekta	Anna Pietroń
Projekt okładki i skład	Amadeusz Targoński www.targonski.pl
Ilustracje	© Andrzej Zaręba
Copyright	Instytut Europy Środkowej
ISBN	978-83-66413-57-3
Wydawca	Instytut Europy Środkowej ul. Niecała 5 20-080 Lublin www.ies.lublin.pl
Druk	Drukarnia Akapit www.drukarniaakapit.pl

Oblicza Europy Środkowej



Oddajemy do rąk Czytelników zbiór esejów i wywiadów dotyczących Europy Środkowej. Sam termin „Europa Środkowa” nie jest precyzyjny i w zależności od przyjętych kryteriów uzyskujemy jego różne definicje i różny zakres terytorialny. Innymi słowy, Europa Środkowa ma wiele obliczy – dlatego też w niniejszej publikacji chcemy pokazać bogactwo i różnorodność tego regionu. Odnosimy się do jego historii, ważnych postaci i kultury.

Publikacja przygotowana przez Instytut Europy Środkowej w Lublinie stawia sobie za cel przybliżenie złożonych procesów zachodzących w państwach Europy Środkowej oraz pokazanie kulturowej wagi tego obszaru. Oddając w Państwa ręce kolejny tom Instytutu Europy Środkowej w Lublinie w serii „Europa Środkowa”, cieszymy się, że mogliśmy poszerzyć naszą wiedzę i perspektywę na historię, kulturę i ludzi związanych z naszym regionem.

Fragment Wstępu